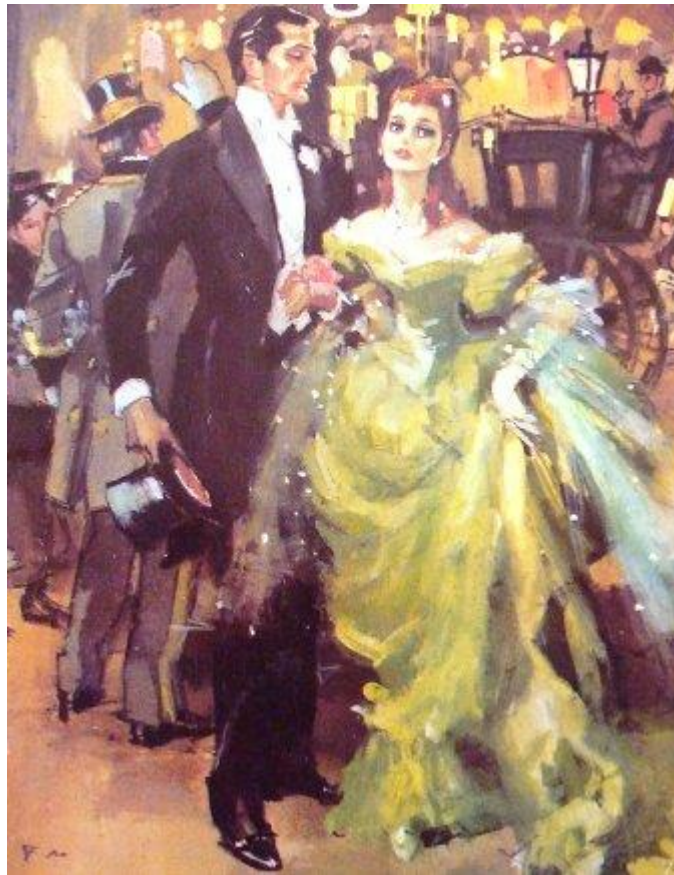


Barbara Cartland

Bogini miłości

The Goddess of Love



Rozdział 1

Rok 1899

Corena zeszła po schodach nucąc do siebie. Był piękny dzień, wiosenne słońce oświetlało żonkile pod drzewami. Pierwsze motyle unosiły się nad krzewami bzu.

Corena nie zdawała sobie sprawy, że sama wygląda jak wiosenny kwiat. Miała na sobie suknię w kolorze rozkwitających pąków. Jej zielone, złoto nakrapiane oczy miały w sobie przejrzystość strumienia płynącego w dole ogrodu.

Marzyła, by ojciec był przy niej. Zacytowałby w takiej chwili bez wątpienia jakąś grecką odę, dając wyraz swemu uznaniu dla piękna, które dostrzegała, a którego nie potrafiła wyrazić słowami.

Jednak, w czym nie było nic zaskakującego, sir Priam Melville znajdował się w Grecji. Od czasu studiów w Oxfordzie sir Priam miał obsesję na punkcie tego kraju. Głęboka, niezrównana znajomość greckiej starożytności przyniosła mu na uczelni najwyższą notę. Babka sir Priama była Greczynką, więc jego upodobania miały charakter nie tylko rozumowy - Grecję miał także we krwi. Wtedy zaczął kolekcjonować greckie posągi i inne zabytki, które zdobiły piękny elżbietański dom, w którym mieszkali.

Było oczywiste, że jego córka, kiedy się urodzi, otrzyma greckie imię. I stało się pewne, że kiedy wyrośnie, będzie jeszcze piękniejsza od starożytnych posągów, którymi zachwycali się zarówno ojciec, jak i matka.

Od przedwczesnej śmierci lady Melville upłynęły dwa lata. Corena starała się w tym czasie troszczyć o ojca, ale zdawała sobie sprawę, że tylko wyjazd do Grecji pomoże mu przeboleć tę stratę.

Po świętach Bożego Narodzenia ojciec powiedział jej, że właśnie tam się udaje. Pomyślała, że miała szczęście; iż nie

zechciał opuścić jej wcześniej. Po wyjeździe czuła się samotna, ale towarzystwa dotrzymywała jej guwernantka, kobieta bardzo inteligentna. Ślęczały nad książkami, wypełniającymi bibliotekę sir Priama, i nad inskrypcjami, które nadesłano mu niedługo przed wyjazdem.

To właśnie te inskrypcje ostatecznie sprawiły, że nie mógł już dłużej przebywać z dala od kraju, który go oczarował. Kiedy wyjeżdżał, Corena zauważyła, że sama myśl o podróży odmłodziła ojca o dziesięć lat.

Teraz dotarła do holu i zatrzymała się na chwilę, aby dotknąć wspaniałej marmurowej stopy stojącej na kolumnie; obok niej znajdowała się głowa mężczyzny. Były to piękne fragmenty rzeźby, zachowane w zadziwiająco dobrym stanie. Ojciec odkrył je podczas swej ostatniej ekspedycji, przed śmiercią matki, i z triumfem przywiózł do domu. Były to jedne z najpiękniejszych obiektów, jakie widział kiedykolwiek, i z trudem mógł uwierzyć, że miał szczęście je zdobyć.

- To IV wiek przed Chrystusem, moja kochana - powiedział do Coreny.

Córka często zastanawiała się, czy spotka kiedyś mężczyznę równie przystojnego i imponującego jak ten posąg. Tego poranka, może dlatego, że była wiosna, pomyślała, że jeśli się kiedykolwiek zakocha, to w człowieku takim jak on - przystojnym, władcym, opanowanym.

Nie znalazła tych cech w żadnym z młodych ludzi, którzy przychodzili do ich domu lub których spotykała na tych nielicznych przyjęciach, na jakie chodziła. Przez większą część roku była w żałobie i nie udzielała się towarzysko.

Teraz miała nadzieję, że ojciec zacznie zabierać ją na bale i przyjęcia, jakie wydawano w ich hrabstwie. Ale on był bardziej zaabsorbowany odnalezioną w Grecji boginią niż własną córką.

„Chyba mam szczęście - myślała często Corena - że kobiety, które Papa tak gorąco uwielbia, nie żyją od wieków albo schroniły się na Olimpie i już nie zadają się ze śmiertelnikami”.

Roześmiała się na tę myśl.

Ale Grecja zajmowała także i jej myśli, a ojciec obiecał, że kiedy pojedzie tam następnym razem, zabierze ją ze sobą.

- Dlaczego nie teraz, papo? - zapytała Corena. Ojciec zawahał się przez moment, jakby szukał odpowiednich słów.

Ponieważ rozumiała się z nim doskonale, zapytała domyślnie:

- Czy to, co robisz, jest niebezpieczne? Sir Priam umknął spojrzeniem.

- Może być, i dlatego, moja najdroższa, muszę pojechać sam - odrzekł.

- Czego konkretnie szukasz?

Odpowiedział po chwili milczenia:

- Doszły do mnie pogłoski o posagu czy też posagach znajdujących się w Delfach, które, choć to może wydawać się niewiarygodne, nie zostały jeszcze odkryte.

Oczy Coreny zabłysły. Zawsze pasjonowało ją wszystko, co wiązało się z Delfami. Przeczytała wszystkie książki, jakie o nich napisano, i bombardowała ojca pytaniami. To w Delfach zbudowano świątynię Apollina pod świecącymi Skałami, wznoszącymi się o tysiąc stóp nad głowami pielgrzymów, nieugięte potężnymi i odległymi.

Ojciec opowiadał jej, że kiedy Apollo opuścił świętą wyspę Delos, aby zawojować Grecję, delfin zaprowadził jego statek do małego miasta Krissa.

Przybrawszy postać gwiazdy, młody bóg zeskoczył w samo południe z pokładu; bił od niego blask, a nieziemska błyskawica oświetliła niebo. Po stromym zboczu wzgórza Apollo wspiał się do legowiska smoka, który strzegł Skal.

Kiedy go zabił, oznajmił bogom, że bierze w posiadanie cały obszar, jaki ogarnia wzrokiem z miejsca, w którym stoi.

Corena wyobrażała sobie ten wzruszający moment, a ojciec powiedział jej, że Apollo wybrał sobie najwspanialszy punkt widokowy w Grecji.

W Delfach mieściła się też wyrocznia. Przybywali do niej ludzie z każdego zakątka śródziemnomorskiego świata, by wysłuchać przepowiedni, które bóg wypowiadał ustami młodej kapłanki.

W głosie ojca brzmiał zachwyt, kiedy opowiadał Corenie o przeszłości. Potem, kiedy mówił, jak w I wieku naszej ery cesarz Neron zabrał z Delf siedemset posągów i wysłał je do Rzymu, robił się niewypowiedzianie smutny.

Przed trzema laty francuscy archeolodzy znaleźli w Delfach niezliczone inskrypcje i zrujnowane świątynie. Ale ani jeden z posągów nie okazał się nietknięty. Archeolodzy, tacy jak jej ojciec, nadal jednak mieli nadzieję.

Corena popatrzyła na ojca z podnieceniem i powiedziała:

- Czy chcesz powiedzieć, papo, że znalazłeś nie uszkodzony posąg?

- Słyszałem o nim - sprostował ojciec - ale to może być tylko pogłoska. Kłopot polega na tym, że odkąd lord Engin usunął marmury z Partenonu, Grecy odnoszą się niechętnie do każdego, kto próbuje zabrać ich skarby.

- Mogę to zrozumieć - mruknęła Corena.

- Zaniechali je przez stulecia - odparł - ale w końcu zaczynają doceniać ich wartość, nawet jeżeli większość z nich nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo są one wyjątkowe i niezastąpione.

- I sądzisz, że Grecy mogliby ci przeszkodzić w wywiezieniu czegoś, co znajdziesz? - nalegała Corena.

Zdawało się, że ojciec ponownie zawahał się, zanim odpowiedział:

- Są też inni, w części Grecy, w części ludzie innych narodowości, którzy chcą wykorzystać wszelkie znaleziska po prostu dla zarobku.

Corena zrozumiała, że tu właśnie kryje się niebezpieczeństwo, i zarzuciła ojcu ramiona na szyję mówiąc:

- Kochany papo, musisz być bardzo, bardzo ostrożny! Gdyby cokolwiek ci się stało, zostałabym zupełnie sama; byłabym strasznie nieszczęśliwa bez ciebie i mamy.

Dostrzegła ból w oczach ojca, kiedy wypowiadała te słowa; wiedziała, jak bardzo tęsknił za jej matką.

- Obiecuję zrobić wszystko, co będzie w mej mocy, by powrócić do ciebie tak szybko, jak to tylko możliwe - odparł. - Być może przywiozę posąg Afrodyty, równie pięknej jak ty, moja najdroższa!

Corenie bardzo się spodobał ten komplement - pocałowała ojca.

Byłaby doprawdy bardzo głupia, gdyby nie zdawała sobie sprawy, że w istocie jej twarz przypomina niektóre z najpiękniejszych głów Afrodyty. Zwłaszcza te wyrzeźbione przez nieznanego mistrza z Attyki w IV wieku przed naszą erą. Miała takie same owalne brwi, ten sam prosty, idealnie proporcjonalny nos, tak samo zaokrąglony podbródek. Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, jej wargi nasuwały każdemu mężczyźnie myśl, że są stworzone do pocałunków.

Nieliczni mężczyźni, których poznała, byli pod przemożnym urokiem jej wyglądu. Żaden z nich jednak nie doceniał tego, że Corena ma nie tylko grecką urodę. Miała też wnikliwy umysł, taki, który starożytnym Grekom pozwolił zrewolucjonizować sposób postrzegania świata.

Kiedy szła przez hol, myślała o swym ojcu. Wyobrażała sobie, jak sir Priam recytuje słowa wyroczni dla Juliana Apostaty, który odwiedził delficką świątynię w 362 r.n.e.

Zapytał wówczas, co może uczynić dla zachowania chwały Apollina.

Wyrocznia odpowiedziała:

„Powiedz Królowi, że pięknie wykonany dom zawalił się.

Nie ma Apollo schronienia ani świętych liści laurowych; Fontanny milczą teraz; głos ucichł”.

- To może być prawda - powiedziała do siebie Corena. - Ale jednak, niezależnie od tego, jak bardzo zniszczone mogą się dziś wydawać, Delfy inspirują i podniecają papę, a zatem nie wszystko zginęło.

Kochała ojca tak bardzo, że miała wrażenie, iż podróżuje razem z nim, najpierw lądem do Włoch, następnie morzem do Krissy. Patrzyliby na świecąca Skałę - była pewna, że widzieliby latające nad nią orły. Potem spłynęłoby z ruin światło Apollina, a ojciec stwierdziłby, że bóg nie jest już martwy, że ożył.

Corena weszła do salonu o niskim suficie; również tutaj znajdowało się wiele małych, ale znakomitych fragmentów greckich rzeźb.

Kobieca dłoń, otwarta niby w błagalnym geście.

Uszkodzony, ale mimo to wyśmienity posąg Erosa i płaskorzeźba przedstawiająca Afrodytę, jadącą na Olimp na rydwanie ciągniętym przez Zefira oraz Iris.

Dla Coreny wszystkie one były tak bardzo drogie. Codziennie odkurzała je, jak niegdyś czyniła to jej matka, nie powierzając służbie rzeczy tak drogocennych.

Zastanawiała się, co znajdzie w Delfach jej ojciec. Wiedziała, że ma on nadzieję natrafić na coś równie sensacyjnego jak Woźnica z brązu, którego przed trzema zaledwie laty odkryli francuscy archeolodzy.

Kiedy wiosenne deszcze spłukały gruz u stóp amfiteatru, zauważono długą, fałdowaną suknię i pięknie uformowaną stopę.

Ojciec często opisywał, jak w ciągu następnych dni pracujący z ogromnym podnieceniem Francuzi wydobyli spod ziemi kawałek kamiennej podstawy. Następnie odnaleźli część dyszla rydwanu, dwie zadnie nogi koni, koński ogon, podkowę, fragmenty lejców oraz ramię dziecka.

- Wreszcie pierwszego maja - ciągnął sir Priam - w odległości niespełna dziesięciu metrów, bliżej teatru, odkryli górną część prawego ramienia.

- Czy te fragmenty nie były zniszczone? - zapytała Corena, znając odpowiedź.

- Nie - odparł ojciec - ale były bardzo skorodowane na skutek wilgoci, przedostającej się z pobliskiego kanału ściekowego.

- To musiało być bardzo, bardzo ekscytujące!

- Francuzi byli ogromnie poruszeni, ale najbardziej zaskoczyło ich to, że wszystkie elementy były świetnie zachowane, i że nie brakowało niczego poza ramieniem.

Corena słuchała tej historii dość często. Ojciec opisywał posąg tak obrazowo, że dziewczyna niemal widziała postać zamyślonego chłopca. Miał może czternaście lat i był - jak uważano - księciem uczestniczącym w igrzyskach pytyjskich jako woźnica rydwanu.

- Czy papa naprawdę może znaleźć coś takiego? - zastanawiała się.

Byłoby to ukoronowaniem wysiłku całego jego życia - poszukiwania piękna i wspaniałości starożytnej Grecji.

Corena przeszła przez pokój, by popatrzeć na fragment innej rzeźby. Nienaruszone były tylko łydki i kolana wraz z umiejętnie udrapowaną powyżej spódnicą. Tak niewiele zostało z tego, co niegdyś było zapewne kobietą o doskonałych kształtach; ale nawet spojrzenie na to, co zostało zachowane, przedstawiało obraz piękna i harmonii. Ocalała część nadal pobudzała wyobraźnię, oddziaływała tak samo,

jak rzeźba musiała wpływać na ludzi, którzy przed wiekami znali żywą modelkę.

Corena dotknęła marmuru bardzo delikatnie, jakby pieszcząc go. W tej samej chwili otworzyły się drzwi, a kamerdyner oznajmił:

- Pewien pan chce się z panią zobaczyć, panno Coreno! Odwróciła się zaskoczona - zastanawiała się, kto odwiedza ją tak wcześnie rano.

W drzwiach pojawił się niski mężczyzna o ziemistej cerze. Zbliżył się do niej - zauważyła jego ciemne włosy i jeszcze ciemniejsze oczy.

Zanim przemówił odgadła, że jest Grekiem.

- Czy pani jest panną Melville? - zapytał z wyraźnym akcentem.

- To ja.

- Nazywam się Ion Thespidos i chciałbym z panią porozmawiać.

- Tak, naturalnie.

Corena wskazała mu krzesło i powiedziała:

- Proszę usiąść.

Mężczyzna posłuchał; sama usiadła na krześle na przeciwko, zastanawiając się, co go sprowadza. I nagle, jakby zdając sobie sprawę z własnej tępoty, zeszywniała - domyśliła się, że jego wizyta musi mieć związek z jej ojcem. Być może coś mu się stało.

Nie powiedziała nic, ale jej serce zaczęło bić w przyspieszonym rytmie, a w oczach czaił się niepokój.

- Czy jest pani córką profesora Priama Melville'a? - zapytał przybysz.

- Tak - zdołała odpowiedzieć Corena.

Gość popatrzył na nią przenikliwym wzrokiem; zaniepokoiło ją to spojrzenie, więc zapytała szybko:

- Czy przychodzi pan w związku z papą? Czy coś mu się stało?

- Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, panno Melville. Moja wizyta dotyczy go jednak.

- Czy zna pan mojego ojca?

- Poznaliśmy się w Grecji; prawdę powiedziawszy, on przebywa u mnie.

Na ułamek sekundy zawahał się przy słowie „przebywa”. Corena była wyjątkowo spostrzegawcza - nabrała przekonania, że chociaż ten człowiek ma związek z jej ojcem, jak powiedział, to w żadnym przypadku nie jest to przyjaźń.

- Czy powie mi pan, dlaczego się pan tu zjawił?

- Przyszedłem przedłożyć pani propozycję, panno Melville, a to, co mam do powiedzenia, jest ściśle poufne.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Corena.

Pan Thespidos znowu zdawał się szukać właściwych słów, zanim powiedział:

- Pani ojciec jest naturalnie dobrze znany w Grecji. W przeszłości często nas odwiedzał i, co można zobaczyć w tym pokoju i w holu, zabrał ze sobą greckie skarby, które w rzeczywistości należą do naszego kraju!

Odpowiadając, Corena uniosła nieco podbródek:

- W przeszłości nie dbaliście o nie szczególnie! Dopiero teraz zaczynacie sobie zdawać sprawę, jak ważne są one dla świata.

- Światu wolno je doceniać, panno Melville, ale to nasza własność.

Corena nie znalazła na to odpowiedzi - uznała, że najlepiej nic nie mówić.

Miała wrażenie, że Grecy, mimo wcześniejszej, oczywistej obojętności, mieli dużo racji głosząc, iż wspaniałości starożytnej Grecji należą do nich. Tak wiele posągów, płaskorzeźb, malowanych naczyń i rytów rozproszyło się po

Francji, Anglii i innych krajach. To jednak nie usprawiedliwiało rabunku narodowych skarbów. Przypomniała sobie, jak niemieccy archeolodzy odkryli sanktuarium w Olimpii, przekopując całą miejscowość, by tego dokonać. Szukali ogromnego posągu Zeusa. Nigdy go nie znaleźli, ale inne skarby, na które natrafili, zaalarmowały archeologów na całym świecie.

Milczała czekając, że Thespidos będzie mówił dalej. Ten ostatni rzekł po chwili:

- Sądźmy, że gdzieś w Delfach znajduje się zabytek równie wspaniały jak skrzydlata Nike, która niegdyś stała w westybulu świątyni w Olimpii.

Przerwał na chwilę, po czym kontynuował:

- Jest to posąg Afrodyty, tak piękny, że każdy, kto nań patrzy, zakochuje się w bogini, tak jak się działo wtedy, gdy ona sama tam przebywała.

Mówił w sposób poetyczny, ale jego głos nie miał lirycznej barwy. Patrząc na niego Corena była niemal pewna, że jest w nim coś fałszywego, niemal odpychającego. Wiedziała już teraz, że to właśnie - ta rzeźba - zainteresowało jej ojca, ale nie powiedziała ani słowa i czekała nadal. Splotła jedynie palce obawiając się tego, co usłyszy.

- Pani ojciec - mówił dalej Thespidos - przyznał, że poszukuje tego posągu Afrodyty, a ja wierzę, kiedy twierdzi, że wieści o jego istnieniu są jedynie pogłoską i że on wie niewiele więcej.

- Powiedział pan, że ojciec mieszka z panem? - zapytała Corena.

Thespidos przytaknął.

Dziewczyna odniosła paraliżujące wrażenie, że jeżeli ojciec jest gościem tego człowieka, to został do tego zmuszony i nie może uciec.

Z pewnym wysiłkiem zapytała:

- Czy orientuje się pan, kiedy mój ojciec wróci?
- O tym właśnie chcę z panią pomówić - odrzekł Thespidos. - Wszystko zależy od pani, panno Melville.
- Ode mnie?
- Tak.
- Dlaczego?
- Zamierzam to wyjaśnić.

Pochylił się do przodu, przybliżając się do niej. Zniżył głos do cichego szeptu, więc Corena musiała nateńczyć słuch, by go zrozumieć.

- Sądzę - powiedział - że o ile do pani ojca dotarły tylko pogłoski o tym posągu, ukrytym w ruinach Delf, istnieje ktoś inny, kto wie o nim dużo więcej.

- Któż to taki?

- Anglik o nazwisku Warburton - lord Warburton.

Corena знаła to nazwisko. Pamiętała, że ojciec mówił o nim jako o kolekcjonerze takim jak on sam. Wspominał, że lord Warburton to człowiek zachowujący pewną rezerwę, który nie utrzymuje kontaktów z innymi archeologami. Nie dzieli się swą wiedzą na temat określonego miejsca, jak to czyni większość poszukiwaczy.

Jakby odgadując jej myśli, Thespidos rzekł:

- Lord Warburton jest bardzo bogatym człowiekiem. Z łatwością może sobie pozwolić na zapłacenie za swe odkrycia, choć mamy powody uważać, że ukradł wiele zabytków starożytnej Grecji, które obecnie znajdują się w jego domach w Anglii.

- Czy pan je widział? - zapytała Corena. Odniosła wrażenie, że zadała pytanie, na które Grek nie znajdzie łatwo odpowiedzi.

- Nie widziałem ich - odrzekł - ale spotkałem kogoś, kto je oglądał, a sądząc z tego, co mi powiedział, jestem zupełnie pewny, że lord Warburton stanowi wielkie zagrożenie dla

Grecji, która powinna się zabezpieczyć przed dalszą grabieżą naszych skarbów.

Mówił tonem, w którym większość słuchaczy odnalazłaby poczucie patriotyzmu i dumy z narodowego dziedzictwa. Ale Corena była przeświadczona, choć nie miała na to dowodów, że Thespidosa bardziej interesuje napełnienie własnych kieszeni niż ateńskich muzeów.

Mimo to rzekła spokojnie:

- Myślę, że musi pan to wytłumaczyć nieco jaśniej, panie Thespidos. W jaki sposób mam panu pomóc, jeśli po to właśnie zjawił się pan tutaj?

- Wytłumaczę to bardzo prosto - odparł Grek. - Jeśli chce pani, panno Melville, by ojciec wrócił do pani, to lord Warburton musi zająć jego miejsce!

Corena wstrzymała oddech i wpatrywała się w Thespidosa; następnie powiedziała:

- Ja... ja nie rozumiem!

- A więc powiem jeszcze jaśniej: ja i kilku moich przyjaciół spotkaliśmy pani ojca kopiającego kiedyś, późnym wieczorem, w ruinach świątyni Ateny poniżej sanktuarium w Delfach.

Przez chwilę patrzył na nią. Potem dodał:

- Wyciągnięcie z niego informacji, o którą nam chodziło, zabrało trochę czasu...

Corena wyprostowała się.

- Czy pan... czy chce pan powiedzieć - przerwała - że zmusiliście albo torturowaliście mojego ojca, aby wam powiedział to, co chcieliście wiedzieć?

- Potrzebował niejakiej perswazji - odparł Thespidos - ale ja uwierzyłem, kiedy powiedział, że chociaż słyszał pogłoski o posągu Afrodyty, nie orientuje się, gdzie mógłby się on znajdować ani nawet czy rzeczywiście istnieje.

Z wielkim trudem Corena opanowała gniew, jaki wzbudzał w niej ten człowiek. Zdawała sobie sprawę, że jej wybuch nie przyspieszy powrotu ojca i że lepiej zrobi wysłuchując najpierw, co Grek ma do powiedzenia.

- Ja jednak - kontynuował - ustaliłem na podstawie pewnego źródła, o którym mówiłem wcześniej, że lord Warburton wie o wiele więcej o tym posagu niż pani ojciec.

- A zatem dlaczego nie zwróci się pan do lorda?

- Niestety, jest on nieosiągalny, kiedy przebywa w tym kraju; słyszałem też, że to, czego on szuka, może w istocie znajdować się nie w Delfach, ale gdzie indziej.

- A zatem to nie ma związku z moim ojcem!

- Niestety, panno Melville, lord Warburton nikomu nie dowierza, a kiedy odwiedza Grecję, nikt nie orientuje się, że on tam przebywa, dopóki nie wyjedzie.

Corena wyglądała na zaskoczoną - nie rozumiała do końca, co sugeruje Thespidos. On tymczasem mówił dalej:

- W Grecji jest bardzo wiele małych, naturalnych portów, w których jacht może zostać ukryty, powiedzmy, przez tydzień i nikt nie będzie wiedział, że się tam znajduje.

Teraz jego głos zabrzmiał mocniej:

- Oczekuję zatem od pani, panno Melville, że odkryje pani, gdzie lord Warburton zarzuci kotwicę, i przekaże mi tę wiadomość.

Corena patrzyła zdziwiona.

- Ale... ale to niemożliwe!

- A zatem obawiam się, że pani ojciec nie wróci prędko do domu.

- Co pan mówi? Do czego stara się pan mnie nakłonić? - zapytała.

W jej głosie zabrzmiała teraz nuta wściekłości, choć starała się ją wyciszyć. Zaczęła się nagle bać, straszliwie bać o ojca; bała się również człowieka, który siedział na przeciw

niej. Teraz wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, że to zły człowiek.

- Proszę mi pozwolić powiedzieć, co ma pani zrobić - odrzekł Thespidos. - Uda się pani do lorda Warburtona i powie mu pani, że ojciec jest ciężko chory i przebywa w Delfach bez jakiegokolwiek opieki medycznej. Pani zaś może do niego dotrzeć tylko wtedy, jeśli lord zabierze panią do Krissy na pokładzie swego jachtu.

- I sądzi pan, że lord Warburton się zgodzi? A jeśli nawet, to co dalej?

Greki uśmiechnął się, ale nie był to przyjemny uśmiech.

- Jeśli doprowadzi pani lorda Warburtona do portu w Krissie, może pani zostawić wszystko w naszych rękach.

- A jeśli on zacznie podejrzewać, że mój ojciec jest uwięziony?

- Ważne jest to, by lord Warburton dotarł do Krissy, a pani ma go do tego nakłonić.

Corena podniosła się.

- Nie słyszałam niczego równie śmiesznego przez całe życie! - wybuchnęła. - Nie znam lorda Warburtona i jest rzeczą wyjątkowo mało prawdopodobną, by przejął się on chorobą mojego ojca.

- Wobec tego jestem pewny, że będzie pani bardzo przykro, jeśli już nie ujrzy pani ojca!

Thespidos mówił spokojnie, ale Corena wiedziała, że przestał już owijać w bawełnę i otwarcie zmusza ją do uległości. Nerwowo zaczęła się zastanawiać, co może zrobić w tej sytuacji. Siedział wprawdzie dalej na krześle, ale dziewczyna czuła, że ten człowiek jest jak ogromny, czarny ptak, który groźnie się nad nią unosi.

Thespidos milczał, a Corena po chwili powiedziała:

- To, co pan mówi, jest niemożliwe!

- Wszystko jest możliwe, panno Melville, o ile ktoś jest tak piękny jak pani.

Corena zeszywniała, odebrawszy jego aluzje jako obelgę. Następnie powiedziała:

- Naturalnie wiedział pan, jak wyglądam, zanim pojawił się pan tutaj.

- Nie mogłem uwierzyć, że jest pani równie śliczna jak miniatura, którą pani ojciec nosi w kieszeni - odparł - ale myliłem się! Jest pani piękna jak sama Afrodyta, a jak mi powiedziano, lord Warburton ma słabość do dam.

Corena zacisnęła dłonie, starając się opanować. Chciało się jej krzyczeć na Thespidosa i kazać mu wyjść z domu. Był nie tylko wielce impertynencki wobec niej, ale, jak sądziła, także zły, okrutny i wyrachowany; więził jednak jej ojca, którego ona musiała jakoś uratować. Słabym głosem powiedziała to, co pierwsze przyszło jej na myśl:

- Nie mogę skontaktować się z lordem Warburtonem, skoro go nie znam.

Zdawała sobie sprawę, że Thespidos uzna jej słowa za słabość i dojdzie do wniosku, że zgadza się na jego żądania. Ale w tym momencie nie była w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że jej ojciec znajduje się w jego szponach.

- To naprawdę bardzo łatwe, panno Melville - powiedział żywo Grek, jakby zorientował się, że wygrał bitwę. - Uda się pani jutro do domu lorda Warburtona, który, jak stwierdziłem, znajdzie się zaledwie o piętnaście mil stąd, a w którym on obecnie rezyduje.

Corena otworzyła usta, by rzec, że nie może tego zrobić. Ale zaraz uświadomiła sobie, że czego by nie powiedziała, Thespidos zlekceważy to.

- Powie pani lordowi Warburtonowi to, co kazałem pani przekazać, i będzie go błagać, w razie potrzeby na kolanach, by zabrał panią do Grecji.

- A jeśli odmówi?

- Powiedziałem już - odezwał się Thespidos słodkim głosem - że przypomina pani Afrodytę!

- Ale Afrodyta, którą interesuje się jego lordowska mość, jest z marmuru! - odrzekła jadownicie Corena. - Wątpię, czy będzie zainteresowany żywą odmianą.

- W takiej sytuacji pani ojciec pozostanie tam, gdzie jest - tak długo, dopóki nie uznamy, że nam przeszkadza!

Było to powiedziane otwarcie i Corena nadludzkim wysiłkiem powstrzymała się od płaczu. Odwróciła się tylko w stronę kominka, stając tyłem do Thespidosa. Ledwie mogła uwierzyć, iż to, co przed chwilą usłyszała, nie jest koszmarnym snem, z którego się obudzi i stwierdzi, że to wszystko nieprawda. W jaki sposób jej ojciec, taki inteligentny, mógł wpaść w ręce tego okropnego człowieka, który ją straszy? Wiedziała, że jest on zły i chciwy, że jest jednym z tych Greków, o których wspominał ojciec: posągi i zabytki, które można było znaleźć wśród ruin, interesują ich tylko o tyle, o ile mogą na nich zarobić. Nagle przyszło jej do głowy, że jedyne, co może zrobić, to powiedzieć lordowi Warburtonowi całą prawdę.

Thespidos powiedział cicho, jakby znowu odczytał jej myśli:

- Jeśli zrobi pani coś więcej niż to, co pani poleciłem, panno Melville, moglibyśmy uznać za konieczne torturować trochę dłużej pani ojca w nadziei, że ma jeszcze pewne wiadomości, których nam nie ujawnił, a potem, kiedy nie moglibyśmy się już niczego więcej dowiedzieć, pozbyć się go.

Corena odwróciła się.

- Planuje pan szalony, przestępczy czyn! - powiedziała. - Szanuję Greków, lecz pan jest szarlatanem i mordercą!

Mówiła cichym głosem, ale każde wypowiedane słowo było jak sztylet rzucony w tego zniechęconego człowieka.

Thespidos słuchał, potem roześmiał się, a jego śmiech odbił się echem po pokoju.

- Wspaniale! - powiedział z uznaniem. - Kiedy się pani złości, jest pani jeszcze piękniejsza! Cóż może budzić większy lęk niż bogini przemawiająca z boskim gniewem do mężczyzny... który jej nie słucha?

Corena nienawidziła go tak bardzo, że znowu odwróciła się do kominka. Zaległa cisza, po czym dziewczyna odezwała się innym tonem: - Jeśli spróbuję zrobić to, o co pan prosi, czy przysięgnie pan, że nie zrobi krzywdy mojemu ojcu?

- To już lepiej! - odrzekł Thespidos. - Teraz możemy porozmawiać poważnie!

Wiedząc, o co mu chodzi, Corena z niechęcią odwróciła się do niego.

- Panno Melville - powiedział - musi pani wykonać moje polecenia, a jak tylko lord Warburton powie, kiedy wyrusza do Grecji, powiadomi pani o tym człowieka, którego tu pozostawię.

Przerwał na chwilę, spoglądając na nią z namysłem, a następnie rzekł:

- Teraz już może się pani uspokoić i pozostawić wszystko w moich rękach.

- Właśnie to mnie przeraża! - odparła Corena w przypiływie odwagi.

Greki uśmiechnął się.

- Otrzyma pani wszystko, na czym jej zależy: ojciec wróci do domu w dobrym zdrowiu. Od chwili, w której jacht wyruszy z portu Folkestone, gdzie się obecnie znajduje, nikt nie tknie pani ojca - daję na to moje słowo.

Corena wciągnęła powietrze, a Thespidos mówił dalej:

- Gdyby jednak okazała się pani tak głupia, by poinformować lorda Warburtona o tym, co zaszło między

nami, a on wysłałby telegram do władz w Atenach, to obawiam się, panno Melville, że już nigdy nie ujrzy pani ojca!

- Nie mogę uwierzyć, że to prawda! - wykrzyknęła Corena. - Nie mogę uwierzyć, że podobni do pana ludzie istnieją na tym, skądinąd bardzo pięknym i szczęśliwym świecie!

- To pani tak uważa, panno Melville - odparł sarkastycznie Thespidos - ale inni są głodni, potrzebują pieniędzy! Trzeba się zatem nauczyć dzielić swoim szczęściem, a przynajmniej płacić za nie.

- Troszczę się o bezpieczeństwo ojca!

Thespidos powstał, gestykulując jak na rodowitego Greka przystało.

- To pani sprawa - rzekł - a ja mam wrażenie, że okaże się pani odpowiedzialną i bardzo rozsądną młodą kobietą.

Jego głos znowu przybrał ostry ton, a Corena ponownie przekonała się, jaki to zły człowiek, kiedy dodał:

- Jak już mówiłem, jedyny sposób, w jaki może pani ocalić ojca, to paść na kolana albo wejść do łóżka jego lordowskiej mości!

Corena straciła oddech. W całym jej spokojnym i bezpiecznym życiu nikt nie odzywał się do niej tak obraźliwie. Miała ochotę obrzucić tego człowieka obelgami, ale zdawała sobie sprawę, że byłoby to nie tylko daremne, ale także poniżej jej godności. Powiedziała jedynie:

- Nie zostawia mi pan innego wyboru poza próbą uratowania życia ojcu i mogę się tylko modlić, by nawet taki przestępca jak pan dotrzymał słowa.

Thespidos roześmiał się.

- Podoba mi się pani odwaga, panno Melville - odparł. - Mogę panią zapewnić, że kiedy tylko lord Warburton znajdzie się w naszych rękach, ojciec do pani dołączy, a pani, jeśli

będzie dość rozsądna, zabierze go do Anglii i przekona, by się stąd nie ruszał!

Teraz, gdy zrealizował swoje zamiary, w jego tonie brzmiała nie tylko groźba, ale też wyższość i agresja. Corena widziała jak na nią patrzy - wyraz jego oczu przyprawiał ją o mdłości. Ze spokojem, za który ojciec z pewnością by ją pochwalił, powiedziała: - Żegnam, panie Thespidos. Sądzę, że człowiek, czekający na wiadomość, kiedy lord Warburton wyjedzie do Grecji, poinformuje mnie także, w jaki sposób mam się z panem skontaktować, kiedy dotrzemy do pańskiego kraju.

- Mówiłem już, panno Melville, aby wszystko pozostawiła pani w moich rękach - odparł Thespidos. - Są one bardzo sprawne, a przy tym nigdy niczego z rąk nie wypuszczam.

Znowu jej groził. Nie mogąc tego znieść, Corena odwróciła się do niego plecami i powtórzyła:

- Żegnam, panie Thespidos!

Czuła jego palący wzrok na swoim ciele. Nie była pewna, co myśli - a jednocześnie nagle zaczęła się go bać inaczej niż dotychczas. Potem Grek mruknął coś, jakby mówił sam do siebie. Odwrócił się - Corena usłyszała, jak lekkim krokiem idzie do drzwi. Kiedy do nich dotarł, spojrzał za siebie - wyczuła to. Dopiero kiedy usłyszała odgłos zamykanych drzwi i jego kroki w marmurowym holu, zakryła twarz rękami. Nie płakała. Ta okropna sytuacja po prostu ją poraziła. Bała się, straszliwie bała się o ojca, o przyszłość.

Rozdział 2

Lord Warburton wszedł do swego gabinetu. Był to jeden z najpiękniejszych pokoi w domu - rozciągał się stamtąd wspaniały widok na ogród. Obrazy o tematyce sportowej należały do najlepszych dzieł Stubbsa i Sartoriusa. Krzesła pokryte były czerwoną skórą, podobnie jak ażurowa osłona kominka, wyposażona w miękkie siedzisko.

Lord Warburton usiadł i odezwał się do przyjaciela, który podszedł do niego:

- Dobrze wyglądasz, Charles, ale jesteś trochę za szczupły.

- Nic dziwnego - odrzekł major Charles Bruton - skoro ćwiczę twoje konie od świtu do nocy.

- Co o nich myślisz?

- Absolutnie doskonale! Zwłaszcza te z domieszką krwi arabskiej!

Lord Warburton uśmiechnął się lekko, dzięki czemu jego twarz straciła na moment cyniczny wyraz, tak dla niej charakterystyczny.

- Wiec mam nadzieję, że dzięki nim wygramy parę wyścigów - powiedział sucho.

- Jestem gotów założyć się o to! - odrzekł Charles Bruton.

- Niestety, nie będzie mnie tutaj, by zobaczyć, jak biegają.

Charles Bruton, który usadowił się w jednym z wygodnych foteli, spojrział zaskoczony i wykrzyknął:

- Nie wybierasz się przecież znowu do Grecji!

- Muszę!

- Dlaczego?

- Ponieważ usłyszałem o czymś nadzwyczajnym, czego szukam od dawna, i nie zamierzam stracić okazji, by to zdobyć.

Charles Bruton westchnął.

- Myślę, Orionie, że masz dość greckich rzeźb, by zappełnić muzeum.

- Czy można kiedykolwiek mieć dosyć tego, co dobre? - zapytał lord Warburton. - To samo mogę powiedzieć o komach!

Jego przyjaciel roześmiał się. Opuścił armię z opinią najlepszego jeźdźca w królewskiej kawalerii. Lord Warburton wiedząc, że bardzo potrzebuje pieniędzy, zaproponował mu posadę szefa swej stajni wyścigowej. Słyszając to, Charles Bruton z radości puścił się w tany. Stajnię tworzył nie tylko obecny lord Warburton, ale wcześniej jego ojciec i dziadek. W rezultacie konie startujące w barwach Warburtonów we wszystkich klasycznych wyścigach stały się legendą.

- Muszę powiedzieć - zauważył Charles - że będę bardzo zawiedziony, skoro po całej tej mojej ciężkiej pracy nie będziesz obecny na torze.

- Przykro mi, Charles, wiedziałem, że poczujesz się rozczarowany - odparł lord Warburton - ale jak wiesz,

Grecja jest u mnie zawsze na pierwszym miejscu!

- Powinienem się tego spodziewać; a czy to coś, co każe ci wyjechać z Anglii, jest naprawdę lepsze od tego, co już masz?

- Nie mogę ci odpowiedzieć, dopóki nie zobaczę - odrzekł lord Warburton - ale mój informator, który już wcześniej mi pomógł, pisze entuzjastycznie, że to coś wyjątkowego i jeśli tego nie zdobędę, do końca życia będę żałował.

- Cóż to takiego? - zapytał Charles.

- To posąg Afrodyty, którego archeolodzy szukają od lat, a który, jak dotychczas, wymykał się Francuzom, Niemcom, a wcześniej Rzymianom.

- Powiedziałbym, że Afrodyta, bogini miłości, to dla ciebie bardzo nieodpowiednia towarzyszka!

- Nie wtedy, gdy jest z marmuru - odparł lord Warburton.

- Muszę stwierdzić, że czułbym się o wiele szczęśliwszy, gdybyś mi powiedział, że jedziesz do Paryża na poszukiwanie Afrodyty z krwi i kości - rzekł Charles. - Sam wiesz, że to właśnie powinieneś zrobić.

- Co masz na myśli?

- Nie udawaj takiego tępego, Orionie - odparł przyjaciel. - Wiesz równie dobrze jak ja, że prędzej czy później musisz się ożenić i dochować dziedzica. W innym przypadku co się stanie z tym wszystkim?

Mówiąc to zatoczył wokoło ręką, wskazując doskonale obrazy i dwa wspaniałe posągi, stojące po obu stronach kominka. Były to postacie nagich mężczyzn w charakterystycznych pozach atletów, ze wstążkami zwycięzców we włosach.

Lord Warburton przez chwilę nie odpowiadał. Potem rzekł:

- Już mi o tym mówiłeś, ale mam jeszcze mnóstwo czasu.

- Masz trzydzieści dwa lata; kiedy się zestarzejesz, nie będziesz mógł poślubić młodej i pięknej Afrodyty, i będziesz musiał zadowolić się leciwą wdową, która niewątpliwie będzie bardziej niż chętna, by wydać się za ciebie dla twego majątku i pozycji.

Lord Warburton roześmiał się.

- Ponury obraz! Nie jestem jednak przekonany, czy pozbawiona ogłady i rozumu młoda kobieta byłaby lepsza!

Charles wyciągnął nogi i odchylił się do tyłu, obserwując przyjaciela.

- Martwisz mnie - rzekł. - Od dwóch lat stajesz się coraz bardziej cyniczny i wydaje się, że żadna kobieta, choćby najbardziej atrakcyjna, nie potrafi przyciągnąć twojej uwagi.

Bruton myślał, że lord Warburton roześmieje się. Ten jednak wstał z siedziska przy kominku i przeszedł przez pokój niespokojnym krokiem. Stał przy oknie, spoglądając na

zielone trawniki, opadające w stronę jeziora, na którego oddalonym brzegu stała wspaniała, biała świątynia, którą Warburton sprowadził z Grecji.

Charles czekał. Po dłuższej przerwie lord powiedział:

- Prawda jest taka, że kobiety - wszystkie kobiety - rozczarowują mnie!

- To niemożliwe! - odparł z wymówką Charles.

- To prawda. Zdarza się, że wyglądają pięknie, ale jak tylko poznaję je bliżej, przekonuję się, że są głupie, trywialne i pod wieloma względami nie ucywilizowane.

- Myślę, że oszalałeś!

- Nie, jestem zdrowy na umyśle; stwierdzam tylko, że o wiele łatwiej rozmawia mi się ze starszymi ode mnie mężczyznami, którzy żyli pełnią życia albo też interesują się chwałą przeszłości.

- Szczególnie przeszłości Grecji! - szepnął Charles Bruton.

- Tak, Grecji! - powtórzył twardo lord Warburton. - Proszę Boga tylko o to, bym mógł usiąść u stóp Sokratesa i Platona albo słuchać Homera, bo wszystko, co mogliby powiedzieć, uznałbym za pobudzające i fascynujące.

- Ale oni wszyscy już dawno nie żyją, a ty i każdy tobie podobny staje się śmieszny, tracąc czas na tęsknocie za tym, co nieosiągalne i na poszukiwaniu starych kości.

- A cóż mam robić innego? - zapytał lord. - Nadskakiwać starzejącemu się księciu Walii, wysłuchiwać dworaków, pleść brednie na temat imperium?

- W Londynie jest wiele atrakcji.

- Masz na myśli to, że powinienem mieć obsesję na punkcie pustych i rozszczebiotanych dziewcząt, i uważać za zaszczyt, że jakaś da się zaprosić na kolację? Dobry Boże, Charles, czy rozmawiałeś kiedyś z którąś z tych tak wychwalanych ślicznotek?

- Oczywiście, i uważam, że są bardzo zabawne!
- Mam pić szampana z jedwabnego pantofelka i odwozić je do domu o świcie dwukółką?
- Mogę sobie wyobrazić bardziej intymne przyjemności - mruknął Charles.

- O tych sprawach - odrzekł lord Warburton - nie należy mówić ani też słuchać podobnych rozmów.

Charles roześmiał się.

- W porządku, Orion, zwyciężyłeś! Jedź do Grecji, odszukaj swoją Afrodytę! Mogę jedynie dodać, że marmur jest w łóżku bardzo zimny, a kamienne usta nie są szczególnie zdatne do całowania!

Lord Warburton nie odpowiedział. Usiadł tylko na tym samym miejscu, co poprzednio. Potem odezwał się innym tonem:

- Porozmawiajmy teraz - chcę usłyszeć każdy szczegół dotyczący moich koni, zanim wyjadę.

Charles spełnił jego prośbę. Nie mógł się jednak pozbyć myśli, że jego przyjaciel, mimo swego majątku i wysokiej pozycji, nie jest szczególnie szczęśliwym człowiekiem. Podziwiał Oriona od czasu wspólnego pobytu w Eton. Potem poszli razem do Oxfordu. Charles koncentrował się na sporcie, przebywał w towarzystwie ludzi, którzy gustowali w podobnych jak on przyjemnościach. Orion natomiast uzyskał dyplom z archeologii. Uznano go za najlepszego studenta w dzieci zimie języków orientalnych, jaki kiedykolwiek pojawił się w Oxfordzie.

Mimo to pozostali przyjaciółmi. Kiedy razem wstąpili do Lifeguards - pułku królewskiej gwardii konnej, Charles nadal podziwiał Warburtona, który najlepiej jeździł konno i był najprzystojniejszy w całym regimencie. Następnie służyli w Indiach jako adiutanci wicekróla. Charles wiedział, że Orion kilkakrotnie znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Przeżył

jedynie dzięki bystrości umysłu oraz niesamowitej intuicji. Kiedy wrócili do Anglii, Orion odziedziczył tytuł, wystąpił z pułku i zajął się swymi posiadłościami. Przez następny rok przyjaciele widywali się bardzo rzadko. Następnie Charles objął zarząd nad stajnią wyścigową Warburtonów. Teraz, ilekroć jego pracodawca był w Anglii, większość czasu spędzali razem. Charles martwił się o Oriona, który zdawał się czerpać z życia tak mało przyjemności, chyba że przebywał w Grecji. Lord był podekscytowany jedynie wtedy, gdy z kolejnej podróży przywoził skarby do Warburton Park.

Charles przeżył miły cykl pełnych pasji przygód miłosnych. Trudno mu było uwierzyć, że przyjaciel jest szczęśliwy bez rozkoszy trzymania w ramionach miękkiego, ciepłego ciała, bez chętnych ust, które szukają jego warg. Ale lord Warburton wydawał się uodporniony na powaby kobiet, które niezmiennie uganiały się za nim. Niewieście uroki szybko go nudziły.

Charles wiedział, że Orion rozczarował się do kobiet we wczesnej młodości, podczas pierwszego roku w Oxfordzie. W swoim czasie uważał to wydarzenie za zupełnie nieistotne. Ale teraz, patrząc wstecz, był przekonany, że przyjaciel od tego właśnie momentu zaczął unikać kobiet. Kiedy znajdował się w ich towarzystwie, przyglądał się im' tylko cynicznie. Zdawał sobie sprawę, że każdej kobiecie, a zwłaszcza takiej, która ma ambitną matkę, trudno było nie myśleć o tym, że lord jest znakomitą partią, pomijając już to, że jest także wyjątkowo przystojnym i atrakcyjnym mężczyzną.

Charles, który wszystkie kobiety traktował jak piękne kwiaty, które tylko czekają, aby on je zerwał, chciał, by przyjaciel cieszył się nimi tak jak on sam. Zainteresowanie lorda tym, co w końcu sprowadzało się tylko do kawałków marmuru, uważał za nieludzkie i niezrozumiałe.

Rozprawiali o koniach; Charles powiedział lordowi Warburtonowi, które wyścigi powinni jego zdaniem wygrać. Potem zapytał błagalnie:

- Dlaczego nie zmienisz postanowienia, Orionie? Zapomnij na chwilę o Grecji, popatrz, jak twoje barwy pierwsze mijają metę w Newmarket i, oczywiście, podczas Królewskiej Gonitwy w Ascot.

- Zrobiłbym to z chęcią - przyznał lord Warburton - ale jeżeli utracę Afrodytę, taka okazja może mi się już nigdy nie nadarzyć!

- W Londynie też są bardzo ładne „Afrodyty” - napomknął kusząco Charles - a szczególnie jedna; od dawna pragnę, abyś ją poznał.

- Spotkam się z nią po powrocie i jeśli okaże się piękniejsza od Afrodyty, którą spodziewam się przywieźć, być może ożenię się z nią!

Charles roześmiał się, po czym powiedział poważnie:

- Mam nadzieję, że tak postąpisz, bo ona naprawdę byłaby bardzo odpowiednią żoną, choć może uznać za nieco irytującą potrzebę dzielenia się twoim uczuciem z mnóstwem kobiet wykonanych z marmuru, choćby były nie wiem jak piękne!

- Jeśli dajesz mi do zrozumienia, że pobierając się z nią będę musiał przenieść moje boginie do muzeum albo samemu zorganizować ekspozycję w zachodnim skrzydle, to stanowczo odmawiam pójścia tą drogą!

Charles już zamierzał odpowiedzieć nonszalancką repliką, ale zaraz pomyślał, że to byłby błąd. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo dumny ze swych greckich starożytności jest jego przyjaciel. Sugerowanie, że kobieta, która za niego wyjdzie, mogłaby wymieść tę kolekcję, odłożyłoby jego oświadczyzny na zawsze - Charles był tego pewien.

„W tej sprawie muszę się zachowywać taktownie”, pomyślał, a głośno powiedział:

- Doskonale, Orionie, jedź do Grecji i znajdź swoją Afrodytę! A po powrocie do domu tak jak obiecałeś, poszukaj żywej, młodej bogini, przy której serce zacznie ci bić szybciej, i która da ci pół tuzina synów równie przystojnych jak ty!

Lord Warburton uśmiechnął się kwaśno. Charles nie był jedynym człowiekiem, który namawiał go do małżeństwa. Z irytacją pomyślał, że i jego krewni nie mówią prawie o niczym innym. Aż za dobrze wiedział, że nikt z nich nie lubi jego ewentualnego dziedzica, kuzyna, który osiągnął już wiek średni. Ten ostatni miał jednak niezłomną nadzieję, że w jakiś sposób uda mu się zająć miejsce lorda Warburtona. To on właśnie najgłośniej wychwalał kolekcję Oriona z tej prostej przyczyny, iż miał nadzieję, że podczas podróży nad Morze Śródziemne spotka go jakiś tragiczny wypadek. Może jacht lorda zatonie, a on sam zginie podczas sztormu w Zatoce Biskajskiej. Orion, który doskonale sobie zdawał sprawę z uczuć innych, wiedział, że kuzyn modli się, aby to się zdarzyło. Już choćby z tego powodu postanowił jeszcze bardziej zdecydowanie, że pozostanie żywy. Jednocześnie był na tyle uczciwy wobec siebie, że zdawał sobie sprawę, iż wcześniej czy później musi się ożenić i splodzić oczekiwanego z niecierpliwością dziedzica tytułu, chociaż ta myśl wydawała mu się odstręczająca.

Charles miał rację myśląc, że lord jest rozczarowany kobietami. Warburton pamiętał, jak dziewczyna, którą podziwiał i która go pociągała, śmiała się z jego zainteresowania Grecją. Szydźiła z poezji, która jemu wydawała się taka piękna, a także z rzeźb, które oglądali razem w British Museum. „Marmury Elgina” fascynowały go, odkąd zobaczył je po raz pierwszy, kiedy był jeszcze zupełnie mały. Podczas pierwszych wakacji w Oxfordzie pojechał

obejrzeć greckie posągi w Luwrze w Paryżu i rzeźby w Monachium. Ponieważ znaczyły one dla niego tak wiele, przywiózł dziewczynie rysunki i fotografie przedmiotów, które go oczarowały. Ona powiedziała na to zjadliwie, że wolałaby jakiś klejnot i że nie ciekawia jej „te stare śmiecie”.

Z początku nie mógł uwierzyć w jej słowa. Potem, kiedy kpiła z tego, że tak pochłaniają go sprawy, które uważał za święte, zorientował się, iż wiersze w stylu greckim, które napisał dla niej, wywołały jeszcze więcej śmiechu. Dziewczyna pokazała je innym i wyśmiała nie tylko wobec swoich własnych, ale także i jego przyjaciół. Orion powiedział sobie wówczas, że nigdy więcej nie da się zwieść ładnej buzi.

Było wiele kobiet, które sporadycznie pojawiały się w jego życiu. Nie można tego uniknąć, kiedy ktoś jest tak przystojny i wybitny. Nie oznaczały one jednak dla lorda nic więcej, jak tylko fizyczną rozrywkę. Zachowywał się jak człowiek, który docenia dobry posiłek, ale zapomina o nim natychmiast po zjedzeniu.

Warburton zdawał sobie sprawę, że nawet jego przyjaciel Charles nie rozumie do końca piękna, jakie on odkrył w Grecji. Posągi oczarowały go bardziej niż jakakolwiek kobieta. Pobudzały też jego umysł i unosiły ku gwiazdom całe jestestwo.

Matka, będąca wielką miłośniczką poezji, ochrzciła go mieniem „Orion”. Z szacunku dla tradycji rodzinnej dwa pierwsze imiona, jakie mu nadano, brzmiały „George Frederick”. Dopiero kiedy dorósł na tyle, by móc samemu decydować o takich sprawach, odrzucił te imiona. Upierał się przy używaniu tego, które pochodziło z Grecji. Ponieważ wyglądał tak romantycznie, uważano to za właściwe i tylko kilku przyjaciół, nie licząc Charlesa, miało dosyć odwagi, by żartować z tego powodu.

Obaj mężczyźni rozmawiali wciąż z ożywieniem, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się.

- Przepraszam, milordzie - odezwał się z namaszczeniem kamerdyner, który przebywał w Warburton Park od ponad trzydziestu lat - ale jest tu młoda dama, która koniecznie chce się widzieć z waszą lordowską mością.

- Czego ona chce, McGregor? - zapytał lord Warburton.

- Pyta, czy milord ją przyjmie; twierdzi, że to sprawa życia lub śmierci!

Lord Warburton robił wrażenie zaskoczonego; zaś Charles Bruton roześmiał się.

- To z pewnością coś innego niż proboszcz proszący o datek na sierociniec!

- Myślę, że lepiej będzie, jak ją przyjmę - powiedział lord nieco znużonym tonem.

Odkąd zamieszkał w Warburton Park, przekonał się, że zawsze znajdzie się ktoś, by go zanudzać skargami albo prosić o pieniądze na miejscowe akcje dobroczynne.

- Wprowadziłem młodą damę do Srebrnego Salonu, milordzie.

- Doskonale - odrzekł lord Warburton. - Pójdę do niej.

- Sprawa życia i śmierci! - wtrącił Charles, kiedy kamerdyner zamknął drzwi. - To brzmi podniecająco!

- Wątpię - odparł lord. - Zgaduję, że chodzi o kwestę na misjonarzy w Afryce. Oni zawsze domagają się środków na nawracanie tubylców, którzy dużo bardziej wolą swoje religie.

- Jesteś nie tylko cyniczny - powiedział oskarżycielskim tonem Charles - ale również mało romantyczny. Mogę sobie wyobrazić dużo lepsze powody, dla których odwiedza cię młoda kobieta.

Lord Warburton kierował się już do drzwi.

- Jeśli będę tam zbyt długo - rzekł - przyjdź mi na ratunek.

- Dobrze, ale jeśli jest ładna, nie zbiedniejesz dając jej pięć funtów.

Charles nie był pewien, czy lord Warburton usłyszał ostatnie słowa bowiem zamknął drzwi, zanim przyjaciel skończył mówić.

Ten ostatni zagłębił się w gazecie myśląc, jaka to szkoda, że Orion nie może znaleźć nikogo, kto by go pociągał tak mocno jak Afrodyta, której szuka w Grecji.

- Gdyby ona żyła teraz - pomyślał - Orion z pewnością uznałby ją za prozaiczną nudziarę. Tylko dlatego, że jest nieosiągalna, szuka jej ciągle, choć nigdy me znajdzie.

Westchnął i odwrócił gazetę na stronę sportową.

Corena obudziła się rano z wrażeniem, że to, co zdarzyło się poprzedniego dnia, było koszmarnym snem. Ale pamiętała przecież ciemne oczy Greka, jego sposób mówienia i zdawała sobie sprawę, że było to aż nazbyt realne.

Aby ocalić ojca, musiała odwiedzić lorda Warburtona. Z trudnością przychodziło jej uwierzyć, że stoi wobec takiego dylematu. Usiadła na łóżku drżąc z przerażenia, chociaż ciepłe słońce wlewało się do pokoju przez rozsunięte zasłony.

Nie opowiedziała o tej wizycie swojej guwernantce, pannie Davis. Nie zamierzała jej też informować, dokąd sse dziś wybiera. Chociaż panna Davis była bardzo inteligentna, Corena miała przeczucie, że nigdy by tego nie zrozumiała. Ona tymczasem musiała ocalić życie ojca niezależnie od tego, ile by to ją miało kosztować.

Nie mogła jednak uwierzyć, że Thespidos naprawdę zamordowałby jej ojca, gdyby nie wykonała jego instrukcji.

- Jak to możliwe, że na świecie są tacy ludzie? - pytała sama siebie z desperacją.

Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Towarzyszyło jej niemiłe wrażenie, że słowa Greka nie były czcą groźbą i że już nigdy nie zobaczy ojca, jeśli nie zrobi tego, co jej

polecono. Cała sprawa tak ją przeraziła, że zaczęła się modlić do matki o pomoc. Czowała się jak dziecko, które w przypadku zagrożenia instynktownie biegnie do rodziców, by poczuć się bezpiecznie. Zastanawiała się, czy istnieje ktoś, do kogo może się zwrócić i opowiedzieć o położeniu, w jakim się znalazła. Uznała jednak za nieprawdopodobne, by ktoś jej uwierzył.

Co więcej, Thespidos nie zostawił jej adresu. Nie mogła się z nim skontaktować. Jediną osobą, która wiedziała, gdzie jest Thespidos, był człowiek, którego on pozostawił, by dowiedzieć się o wynikach jej wizyty u lorda Warburtona.

W końcu, nie mogąc zrobić nic więcej, Corena kazała przyprowadzić powóz. Zaprzęgano do niego dwa konie - miał się pojawić za pół godziny przed frontowymi drzwiami. Kiedy pokojówka zbiegła po schodach, by przekazać polecenie, Corena stanęła przed szafą zastanawiając się, co powinna założyć. Było bardzo ciepło jak na początek maja. Spojrzała na ładną sukienkę, którą kupiła ostatnio, by sprawić przyjemność ojcu. Była ona dobrze skrojona, ze spódnicą rozszerzającą się od wąziutkiej talii. Wtedy dziewczyna przypomniała sobie słowa Thespidosa, że jedynym sposobem, w jaki mogła uratować ojca, było „błaganie na kolanach lub w łóżku jego lordowskiej mości”. Zaszokowało ją, kiedy to usłyszała. Jeszcze bardziej zaszokowana poczuła się wieczorem, kiedy dotarło do niej, co Thespidos miał na myśli.

Corena była niewinną i prostą dziewczyną, prowadziła ciche i spokojne życie na prowincji. Orientowała się, że mężczyźni miewają niedozwolone stosunki z kobietami, ale nie bardzo wiedziała, co się z tym wiąże. Była jedynie przekonana, że jest to złe i grzeszne. Było to coś, o czym nigdy nie rozmawiała z matką, nie wspominał też o tym ojciec.

Byli razem tacy szczęśliwi; Corena uważała, że pewnego dnia spotka mężczyznę równie atrakcyjnego oraz

inteligentnego jak jej ojciec. Zakochają się w sobie z wzajemnością. Pobiorą się. Razem będą się interesować Grecją, końmi i swymi dziećmi.

Wszystko to wyglądało tak pięknie jak pierwsze wiosenne żonkile, złocące się pod drzewami, jak kaczątka pływające obok swych matek po stawie. Jak białe gołębie, latające nad domem na tle błękitnego, letniego nieba. To piękno chwyciło ją za serce, widziała je wszędzie w swoim domu. Sądziła, że pewnego dnia odkryje je w miłości.

Odniosła wrażenie, jakby Thespidos szeptał jej do ucha swoje okropne słowa - z pośpiechem wyjęła suknię, której nigdy nie lubiła. Materiał, z której została uszyta, kupowała przy sztucznym świetle; za dnia wyglądał szaro i mało gustownie.

Założyła suknię, przykryła piękne blond włosy czepkiem, który nosiła wyłącznie na pogrzeby. Dodała do tego małą woalkę, która należała do matki. Obejrzała się w lustrze i przerażona tym, co zobaczyła, poszła do pokoju ojca. W szufladce komody znalazła to, czego szukała. Była to para okularów, które ojciec zwykle zabierał wyjeżdżając za granicę. Tym razem zostawił je, ponieważ jedno szkło było pęknięte i musiał kupić nową parę.

Corena kazała naprawić stare okulary i schowała je do" szuflady, gdzie miały oczekiwać powrotu właściciela. Szkła były lekko zabarwione - mogły ukryć piękno oczu dziewczyny i złote cętki, które wyglądały jak światło słoneczne na przejrzystej wodzie.

Schowała okulary do torebki. Kiedy zawiadomiono ją, że powóz zajechał, zeszła na dół. Spragnione ruchu konie były niespokojne, rzucały łbami o długich grzywach.

Corena pomyślała, że jest szalona, skoro posłucha Thespidososa. Jak może zwracać się z prośbą do człowieka,

którego nigdy nie spotkała, a który, czego się obawiała, odmówi jej.

„Muszę go przekonać!” - pomyślała.

Po chwili znowu zadrżała, przypomniawszy sobie rozmowę z Grekiem.

Poprzedniego wieczora powiedziała panie Davis, że wyjeżdża wcześniej rano. Stara guwernantka odpowiedziała:

- W takim razie, moja droga, pozostanę rano w łóżku. Ostatnio nie sypiam dobrze i odpoczynek dobrze mi zrobi.

- Tak, naturalnie - zgodziła się Corena. - Poproszę, aby przyniesiono pani na górę lunch, a sama powinnam wrócić przed herbatą.

- Do tej pory zejdę na dół - obiecała pani Davis - i dziękuję ci, drogie dziecko, za wyrozumiałość.

Corena wyszła z pokoju z przeświadczeniem, że musi się pogodzić z faktem, iż panna Davis bardzo się starzeje. Poczowała dreszcz na myśl, że guwernantka mogłaby umrzeć. Musiałaby wtedy znaleźć kogoś innego, kto byłby przy niej pod nieobecność ojca.

Ale tego ranka mogła skupić się tylko na czekającej ją przeprawie z lordem Warburtonem. Jadąc powozem starała się zaplanować, co mu powie. Musiała być przekonująca. Musiała sprawić, by lord poczuł, iż musi zabrać ją ze sobą do Grecji - niezależnie od tego, jak bardzo byłoby to dla niego niewygodne.

Potem zaczęła się zastanawiać, skąd Thespidos wie, czego lord Warburton poszukuje w Grecji. Jej wczorajszy gość był też doskonale zorientowany we wszystkim, co dotyczyło domu lorda. Corena podejrzewała, że informatorem Thespidosa musi być któryś ze służących jego lordowskiej mości. Była pewna, że Grek nie zawahałby się przed przekupieniem każdego służącego, niezależnie od tego, dla kogo pracuje, gdyby to odpowiadało jego zamiarom.

Myśl o tym człowieku wywoływała u Coreny dreszcze. Po raz pierwszy w życiu bała się kogoś. Było to okropne uczucie, którego nigdy nie spodziewała się doświadczyć. Oczy Thespidososa miały twarde wyraz, a z linii jego zaciśniętych warg wyzierało okrucieństwo. Przeżyła coś, z czym nigdy wcześniej się nie spotkała.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - powtarzała sobie.

Podczas jazdy do posiadłości Warburtonów nie widziała zielonych pączków na żywopłotach, rosnących w trawie pierwiosnków, nie słyszała kukulek nawołujących w drzewach. W innej sytuacji zachwyciłaby się pewnie błękitem nieba, odbijającego się w niewielkich strumieniach, które mijali. Na wsi było tyle interesujących rzeczy; ale Corena myślała o ojcu. Został uwięziony w Grecji, w jakimś domu, a może tylko w małym szałasie. Jej dusza wyrywała się do niego.

- Ocalę cię papo, ocalę cię! - szeptała półgłosem.

Czuła, że ojciec wie o jej modlitwach i miłości, jaką go darzy.

Dom lorda Warburtona był oddalony o piętnaście mil. Była prawie dwunasta, kiedy Corena zobaczyła przed sobą ogromny budynek stojący nad jeziorem, a za nim las jodłowy. Nie było wątpliwości - Warburton Park robił wspaniałe wrażenie. Kiedy słońce odbijało się w setkach okien, a proporzec lorda Warburtona powiewał na dachu, posiadłość wyglądała imponująco.

Corena jechała aleją wysadzaną starymi lipami. Kiedy zaczęli zjeżdżać po pochyłości w stronę jeziora, w powietrzu pojawiły się nagle białe gołębie. Usiadły na zielonym trawniku nad wodą. Był to widok tak piękny, jakby pochodził nie z tego świata. Corena pomyślała, że to dobry znak i może jej modlitwy zostały wysłuchane. I nagle, tak jakby do ucha szeptał jej diabeł, usłyszała znów słowa Thespidososa i

przypomniała sobie o okularach. Wyjęła je z torebki i umieściła na nosie pod woalką. Powóz podjechał pod frontowe drzwi.

Nieco czasu zabrało jej przekonanie kamerdynera, że musi koniecznie zobaczyć się z lordem Warburtonem, chociaż nie była umówiona. Wreszcie wprowadzono ją do pięknego salonu. Gzyms był zdobiony srebrem, podobnie jak podtrzymujące go jońskie kolumny. Żyrandole z kryształowymi wisiorami także były wykonane ze srebra, tak samo ozdoby kominka, pogrzebacz i szczypce. Zasłony z adamaszku były w delikatnym odcieniu błękitu, tym samym materiałem pokryto krzesła i kanapę. Po obu stronach kominka stały małe stoliki, wykonane, jak zorientowała się Corena, za panowania Karola II i liczące sobie ponad dwieście lat. Rozejrzawszy się wokół dostrzegła, że w kilku niszach znajdują się greckie posągi, które zrobiłyby wielkie wrażenie na jej ojcu. Ich wyjątkowe piękno powiększało jeszcze wykonane ze srebra tło, od którego marmur odbijał się migotliwie.

„Gdyby tylko papa mógł to zobaczyć!” - pomyślała Corena.

Nagle przypomniała sobie, gdzie się znajduje, po co tu przybyła i ze zdenerwowania wstrzymała oddech. W tej samej chwili drzwi otworzyły się.

Kiedy lord Warburton wszedł do pokoju, Corena nie odważyła się spojrzeć na niego. Miała przerażające uczucie, że może okazać się nieprzyjemny, a może tak pożądlivy jak Thespidos. Usłyszała jego słowa:

- Chciała się pani ze mną widzieć?

Podniosła oczy i zobaczyła, że lord jest wysoki i dobrze zbudowany. Prawdę mówiąc, był to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała w życiu. Jednak jego głos był oschły, jakby uznał ją za natręta. Co więcej, bruzdy biegnące

od nosa do ust nadawały jego twarzy drwiący wyraz. Spojrzała na niego przez swe kolorowe okulary. Wyczuła, że ma jej za złe to wtargnięcie. Była zdenerwowana; szybko zaczęła mówić, czując, jakby jej głos należał do kogoś innego:

- Nazywam się Melville, milordzie, a przyjechałam prosić waszą lordowską mość o pomoc dla mojego ojca, sir Priama Melville'a.

Wypowiadając te słowa Corena pomyślała, że mówi jak pensjonarka, która boi się, że zapomni wyuczonego tekstu. Nie była zaskoczona, kiedy lord Warburton odpowiedział:

- Usiądźmy, panno Melville; niech mi pani powie, dlaczego pani ojciec potrzebuje mojej pomocy i dlaczego nie zjawił się sam, by poprosić o to osobiście.

Corena usiadła na brzeżku kanapy. Składając ręce na kolanach wyjaśniła:

- Mój ojciec znajduje się za granicą, dokładnie mówiąc jest w Grecji.

Dostrzegła, że brwi lorda Warburtona uniosły się, może ze zdziwienia; kiedy przemówił, w jego głosie było nieco więcej ciekawości:

- W Grecji? Ale mnie powiedziano, że życzy sobie pani widzieć się ze mną, bo chodzi o sprawę życia i śmierci.

- To prawda, milordzie. Mój ojciec jest bardzo chory, pomyślałam więc - usłyszawszy, iż udaje się pan do Grecji - że może okaże się pan tak uprzejmy, by zabrać mnie ze sobą.

Teraz lord Warburton był już wyraźnie zdziwiony i patrzył na Corenę tak, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Sądzę, panno Melville - rzekł po chwili - że może pani pojechać do Grecji zwyczajnie, pociągiem.

- Na pociągi zupełnie nie można liczyć, milordzie, zwłaszcza na południu Europy - odparła Corena. - Dlatego właśnie pomyślałam, że gdyby pan zabrał mnie ze sobą,

dotarłabym do Krissy w sposób o wiele pewniejszy niż jakakolwiek inną drogą.

- A zatem pani ojciec znajduje się w Delfach?

- Ojciec jest archeologiem, podobnie jak pan, ale teraz jest ciężko chory.

- W jaki sposób pani się o tym dowiedziała?

- Wczoraj przybył z Grecji pewien człowiek, by powiadomić mnie, że ojciec zachorował i nie ma żadnej opieki lekarskiej.

Jąkała się mając świadomość, że to, co mówi, brzmi bardzo głupio. Nikt by w to nie uwierzył, a już na pewno lord Warburton.

- Twierdzi pani, że ojciec jest archeologiem - zauważył gospodarz. - Jeśli tak, to z pewnością nie pracuje sam nad swymi wykopaliskami?

- Ojciec zawsze pracuje samotnie; nie zabiera ze sobą nawet lokaja, ponieważ uważa, że angielscy służący za granicą przynoszą więcej kłopotów niż pożytku.

Corena miała wrażenie, że lord uśmiechnął się, ale było to jedynie nieznaczne wykrzywienie warg. Następnie powiedział:

- Zgadzam się z tą opinią, panno Melville, Nadal jednak sądzę, że najlepszą metodą, by dotrzeć do ojca, jest pojechać pociągiem. Powiedziałbym, że gdyby udała się pani najpierw do Wenecji, mogłaby pani znaleźć tam niemal co dzień statki płynące do Grecji.

- Milordzie, proszę, czy zabierze mnie pan ze sobą? Corena czuła, że może go już tylko błagać. Nastąpiła chwila ciszy, po czym lord Warburton odpowiedział:

- Czy chce pani powiedzieć, panno Melville, że pragnie tak bardzo płynąć ze mną dlatego, iż nie może sobie pani pozwolić na bilet? W takiej sytuacji...

Corena z przerażeniem zdała sobie sprawę, że zamierza jej zaproponować pieniądze, i rzekła pośpiesznie:

- Nie, nie, to nie jest kwestia pieniędzy, ale szybkości.

- Jak już wyjaśniłem, panno Melville, pociągiem będzie szybciej. Chociaż mój jacht jest nowy i osiąga szybkość czternastu węzłów na godzinę, to może jednak zostać opóźniony przez niesprzyjającą pogodę w Zatoce Biskajskiej; również na Morzu Śródziemnym zdarzają się sztormy, które przedłużają podróż.

- Ja... ja rozumiem, milordzie, ale proszę... Lord Warburton podniósł się.

- Żałuję naturalnie, że nie jestem w stanie pani pomóc, ale mogę jedynie obiecać, że jeżeli w Grecji będę mógł coś dla pani zrobić, uczynić to, o ile nawiąże pani ze mną kontakt.

Przez głowę Coreny przebiegła myśl, że gdyby dowiedziała się, kiedy lord wyrusza i gdzie zacumuje swój jacht, może to zadowoliliby Thespidosa.

- Dziękuję waszej lordowskiej mości za uprzejmość - odparła. - Gdyby powiedział mi pan, gdzie pan się zatrzyma, byłoby pocieszające wiedzieć, że w razie niemożności uzyskania pomocy dla ojca mogę skontaktować się z panem.

- Mam w Atenach agenta i dam pani jego adres.

Lord podszedł do pięknego, inkrustowanego, francuskiego sekretarzyka. Wyjął arkusz papieru ze skórzanego etui ozdobionego własnym herbem. Kiedy zaczął pisać, Corena straciła nadzieję. Zdawała sobie sprawę, że to na nic, a także, że jeśli Warburton zamierza zachować w tajemnicy miejsce, do którego się udaje, nie nawiąże kontaktu ze swym agentem ani kimkolwiek innym.

Gospodarz zbliżył się i wręczył jej kawałek papieru.

- Oto adres, panno Melville - powiedział. - Mogę jedynie wyrazić nadzieję, że kiedy dotrze pani do Grecji, przekona się, że ojciec nie jest tak bardzo chory, jak pani to sobie wyobraża.

- Czy udaje się pan do portu Krissa? - zapytała Corena.

Jakby podejrzewając, że dziewczyna ma powód, by o to pytać, lord Warburton odrzekł:

- Jedną z zalet posiadania jachtu jest to, że można popłynąć, dokąd ma się ochotę, bez wcześniejszego planowania.

- Tak, naturalnie.

Włożyła otrzymaną kartkę papieru do torebki i, czyniąc ostatni wysiłek, by uwolnić ojca z rąk Thespidosa, powiedziała:

- Proszę, niech pan zmieni swe postanowienie i zabierze mnie ze sobą. Przyrzekam, że nie sprawię kłopotu, nie będzie pan nawet wiedział, że jestem na pokładzie; wiem, że to jest najlepszy sposób, by dotrzeć do ojca.

- Przykro mi, że rozczarowuję panią, panno Melville, ale moja odpowiedź brzmi: "Nie!".

Ton jego głosu był nieprzejednany. Corena zdała sobie sprawę, że nawet gdyby upadła na kolana, jak sugerował Grek, odpowiedź byłaby taka sama.

Uznając sprawę za zakończoną, lord Warburton ruszył do wyjścia, a ona mogła jedynie podążyć za nim. Otworzył przed nią drzwi - Corena wyszła do holu. Drzwi frontowe były otwarte, stali przy nich lokaje w barwach lorda Warburtona. Ze szczytu schodów zobaczyła czekający na nią dwukonny powóz. Pomyślała z rozpaczą, że równie dobrze mógłby to być karawan. Swoją odmową Warburton niszczył jej ojca, wysyłał go na śmierć. Corena nie miała jednak już nic więcej do powiedzenia.

Kiedy doszli do drzwi, lord wyciągnął rękę.

- Do widzenia, panno Melville. Mam nadzieję, że pani obawy dotyczące ojca okażą się nieuzasadnione.

Corena nie założyła rękawiczki, którą zdjęła w Srebrnym Salonie. Kiedy podała mu dłoń, poczuła na palcach ciepło jego

skóry i nieoczekiwane drzenie. Sądziła, że sprawiło to jej podniecenie oraz jego odmowna decyzja. Lord nie czekał, aż dziewczyna zejdzie po schodach do swego powozu. Kiedy się odwróciła, w otwartych drzwiach nie było nikogo.

Powóz ruszył. Wtedy Corena zdała sobie sprawę, że poniosła całkowite fiasko; zdejmując okulary zastanawiała się, czy to jej wina. Może, jak podpowiadał Thespidos, powinna raczej skusić lorda swym wyglądem niż pełnymi wahania słowami. Możliwe, że wtedy jego odpowiedź byłaby inna.

„Teraz już za późno”, pomyślała zdesperowana.

Stukot końskich kopyt stawał się coraz szybszy; w ich odgłosie słyszała powtarzane bez końca słowa:

- Za późno! Za późno!

Rozdział 3

Corena wróciła do domu. Przestraszona zastanawiała się, czy będzie tam na nią czekał człowiek Thespidosa. Okazało się jednak, że nie ma nikogo takiego.

Poszła na górę, by zdjąć kapelusz i uczesać włosy. Kiedy zeszła na dół, w domu było zupełnie cicho. Przez otwarte okno salonu dochodziło brzęczenie pszczół i śpiew ptaków w zaroślach. Starła się uwierzyć, że jej tragedia to tylko nocny koszmar. Skurcz serca uświadomił jej jednak, że jest ona aż nadto realna. Jej ojciec znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie, a ona nie była w stanie go uratować z powodu swej nieudolności. Jak mogła być taka głupia, by założyć te przybarwione okulary?

Thespidos sugerował coś wulgarnego i okropnego, ale czy to miało jakieś znaczenie? Czy było choć przez chwilę możliwe, że lord Warburton, o którym słyszała, że jest człowiekiem bardzo wybitnym, zwróci uwagę na kogoś takiego jak ona, pozbawionego pozycji społecznej?

„Zaprzepaściłam okazję, mamó!” - pomyślała.

Czy ktokolwiek może jej teraz pomóc? Jeśli ojciec zginie, zawsze będzie się winić za własną głupotę. Zastanowiła się, czy - gdyby pojechała tam jeszcze raz i mimo ostrzeżeń Greka wyznała lordowi Warburtonowi prawdę - on by to zrozumiał. Ale zaraz pomyślała, że to zbyt ryzykowne - w razie przegranej jej ojciec zginąłby na pewno. Wielkim błędem byłoby przeciwstawiać się Thespidosowi. Corena była pewna, że to człowiek okrutny, bez serca, który zmierza do celu nie zważając na nic.

„Co mam zrobić? O Boże, co mam zrobić?”, myślała z rozpaczą.

Mogła się już tylko modlić. Krążyła bezustannie między domem a ogrodem, a godziny płynęły leniwie. Dochodziła czwarta po południu, kiedy Corena usłyszała odgłos

zajeżdżającego przed dom powozu. Przez głowę przebiegła jej myśl, że może lord Warburton zmienił zdanie. Czy przyjechał sam, czy też wysłał kogoś, aby ją o tym powiadomił? Kiedy po chwili uznała, że to niemożliwe, otworzyły się drzwi. Kamerdyner Bates oznajmił:

- Pewien pan chce się z panią widzieć, panno Coreno! Dziewczyna wiedziała, kto to jest, zanim na niego spojrzała; poczuła dreszcz. Nie spiesząc się, nadchodził Thespidos. Celowo szedł powoli, aby dziewczyna poczuła się onieśmielona. Duma kazała jej unieść głowę, ale musiała mocno zacisnąć dłonie. Drżąc przemówiła, zanim on zdążył się odezwać:

- Robiłam, co mogłam, ale obawiam się, że mi się nie udało!

- Sądzę, że można było tego oczekiwać - odparł Grek tonem pełnym nagany. - Musimy więc teraz wprowadzić w życie inny plan.

- Jaki plan? - zapytała Corena.

- Zakładam, że nadal zamierza pani ocalić ojcu życie?

- Tak, oczywiście! Jak pan może pytać o coś takiego?

- Musi więc pani dokładnie wykonać to, co powiem! Innymi słowy proszę już nie popełnić błędu, panno Melville, bo on zginie, a nie będzie to spokojna śmierć!

Corena przez moment myślała, że zacznie krzyczeć z przerażenia. Ale po chwili opanowała się i poczuła, że nie pozwoli dłużej poniżać się temu Grekowi.

- Powiedziałam już, że zrobię wszystko, co możliwe, aby pomóc ojcu, ale proszę sobie nie pozwalać na groźby!

W oczach Thespidosa pojawił się błysk; Corena uznała go za dowód zdziwienia jej oporem. Następnie Grek odezwał się, jak sądziła, z nieco większym respektem:

- Wymyśliłem sposób, dzięki któremu może pani uratować ojca i dostarczyć mi informacji, jakiej potrzebuję.

- Jaki to sposób?

Spojrzał na nią z namysłem, jakby rozważał, czy powiedzieć jej prawdę, czy też pozostawić w nieświadomości do ostatniej chwili. A potem, ponieważ straszenie jej bawiło go, powiedział:

- Miała pani szansę rozwiązać ten problem polubownie, ale zawiodła pani!

- Jestem tego świadoma - szepnęła Corena. Grek mówił dalej, jakby niczego nie usłyszał:

- Teraz musimy być bardziej zdecydowani.

- Co... co pan sugeruje?

Po chwili milczenia odpowiedział z wolna:

- Będzie pani pasażerką na gapę na jachcie lorda Warburtona!

- Pasażerką na gapę?!

Tego Corena nie oczekiwała. Zaskoczona patrzyła na Thespidosa.

- Kiedy panią odkryje, a raczej kiedy pani sama się ujawni, gdy będzie już za późno, by zawracać do portu, będzie musiał zabrać panią do Krissy, a ja tam już będę czekał.

- Ale ten pomysł jest nierealny! - zaprotestowała Corena. W jej głosie brzmiała nuta sprzeciwu, której Thespidos nie przeoczył.

- Jeśli mnie znajdzie - dodała szybko dziewczyna - jest bardzo prawdopodobne, że wysadzi mnie czym prędzej w Gibraltarze lub w jednym z portów francuskich, jeśli to nastąpi wcześniej.

- W takim przypadku pani ojciec umrze w sposób bardzo nieprzyjemny, a to, jak mogę sobie wyobrazić, będzie panią prześladować przez resztę życia!

Chcąc zachować panowanie nad sobą Corena tak mocno zacisnęła palce, że odpłynęła z nich cała krew. Potem powoli zapytała, nadludzkim wysiłkiem starając się mówić spokojnie:

- Co pan proponuje? Jak według pana mam to zrobić?

- Teraz mówi pani rozsądnie! - odrzekł Thespidos. - Byłoby uprzejmością z pani strony, panno Melville, gdyby pani pozwoliła mi usiąść.

Corena wskazała krzesło, po czym sama usiadła na sofie, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Z trudem łapała oddech. Z ledwością opanowywała strach, który w każdej chwili mógł nią owładnąć.

- Opracowałem już plan - powiedział Thespidos - i nie znajduję w nim słabego punktu.

Corena czekała na dalszy ciąg, ale on milczał, więc po chwili zapytała:

- Co pan zdecydował?

- O ile wiem, jego lordowska mość wyruszy pojutrze, a zatem pani musi być gotowa jutro rano, o dziewiątej, kiedy po panią przyjadę.

- Dokąd mam jechać?

- Do Folkestone, gdzie w porcie stoi jacht lorda. Znajdzie się pani na pokładzie, zanim lord się tam zjawi.

- Ale w jaki sposób? Kiedy on mnie tam zobaczy z pewnością odmówi zabrania ze sobą.

Thespidos uśmiechnął się.

- Proszę zostawić wszystko mnie; teraz musimy jedynie przygotować się do podróży do najbliższej stacji, gdzie możemy złapać ekspres.

Przyjrzał się jej w sposób wzbudzający odrazę i powiedział:

- Niech pani weźmie ze sobą najładniejsze suknie, bo inaczej, jeśli okaże się pani na tyle głupia, by dać się wysadzić na brzeg, a jego lordowska mość popłynie sam, tylko siebie będzie pani mogła winić!

Jego insynuacje były zupełnie oczywiste. Corena wstała.

- Ponieważ nie mam wyboru, panie Thespidos, będę gotowa na czas ale nie życzę sobie więcej wysłuchiwać pańskich impertynencji. To wstrętne i wyjątkowo wulgarne!

Sądziła, że jej riposta skonfunduje go nieco, ale on tylko się roześmiał.

- Widzę, że jest pani dziewczyną z charakterem, panno Melville! - rzekł. - Jeśli pani utonie, pójdzie pani aa dno w pełnej gali flagowej!

Corena nie odpowiedziała. Stała czekając, aż Thespidos wyjdzie. Znowu ją taksował - miała wrażenie, że rozbiera ją oczami do naga.

- Dziewiąta rano, panno Melville - powiedział i odwróciwszy się wyszedł z pokoju.

Tym razem Corena nie zakryła twarzy rękoma jak poprzednio, kiedy ją opuścił. Podeszła do otwartego okna, jakby potrzebowała świeżego powietrza, które oczyści splugawioną przez niego atmosferę.

- On jest nikczemny, zły, okrutny i bez skrupułów - powiedziała szeptem i jednocześnie uświadomiła sobie, że jest całkowicie w jego mocy, tak samo jak ojciec. Nie mogła zrobić nic innego, jak tylko podporządkować się mu i wykonać jego plan, choć czuła, że jest to skazane na niepowodzenie. W jaki sposób zamierzał umieścić ją na pokładzie jachtu lorda Warburtona, by nie dowiedziała się o tym załoga? Próba ukrycia jej po ciemku w jakimś kącie byłaby zupełnie niepraktyczna. Była w stanie podać tysiąc powodów, dla których plan Thespidosa musi skończyć się fiaskiem. Teraz żałowała, że nie spierała się z nim dłużej. Stwierdziła jednak, że kiedy przebywa z nim, czuje zawrót głowy, który zaćmiewa jej umysł. Uznała, że nie ma wyboru i musi mu być posłuszna. Poszła na górę, do swej sypialni. Zadrżała domyśliwszy się, dlaczego Thespidos kazał jej zabrać ze sobą najładniejsze suknie. Wyłożyła część z nich na

łóżko. Potem zadzwoniła na pokojówkę, by jej powiedzieć, że ma je natychmiast spakować.

- Czy panienka wyjeżdża? - zapytała dziewczyna.

- Tak, ale nie sądzę, by na długo - odrzekła Corena. Była przekonana, że śmieszny plan Thespidosa skończy się tym, iż odkryją ją na długo przed wyruszeniem jachtu z portu. Natychmiast jednak przypomniała sobie, że jeśli tak się stanie, jej ojciec zostanie zamordowany. Ta wizja tak ją przeraziła, że nie była w stanie powiedzieć ani słowa więcej. Usiadła w sypialni, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

Potem poszła poszukać panny Davis. Widziała się z nią przed lunchem i stwierdziła, że guwernantka nie czuje się dobrze.

- Za dzień lub dwa wszystko będzie dobrze - powiedziała panna Davis. - Zdarzają mi się takie ataki i nic na to nie można poradzić.

- Czy mam posłać po doktora? - zapytała Corena. Panna Davis uśmiechnęła się.

- Był tu już wcześniej i nie mógł w niczym pomóc. Sądzę, że coś jest nie w porządku z trawieniem, ale to się poprawi za kilka dni - zawsze tak się dzieje!

- Jest pani bardzo dzielna.

- Przekonałam się, że w życiu nie ma wielkiego wyboru - odparła panna Davis - i prędzej czy później każdy dochodzi do końca. Ja, w swoim wieku, staram się zachować szacunek dla samej siebie.

Corena pochyliła się i pocałowała swą guwernantkę w policzek.

- Mnie również nauczyła pani być dzielną - powiedziała mając świadomość, że to prawda. Idąc z panną Davis do jej pokoju zdała sobie sprawę, że wykazuje odwagę nie obciążając starej kobiety swoimi kłopotami. A chętnie zapytałaby guwernantkę o radę. Panna Davis była bystra i

inteligentna, i mogłaby znaleźć wyjście z okropnego impasu. Corena wiedziała jednak, że jej towarzyszka byłaby ogromnie zaszokowana i zmartwiona wiedząc, co się stanie, jeśli Corena nie wykona tego, co polecił jej Grek. Ponadto, gdyby dziewczynie udało się przedostać na jacht i nie wróciłaby z Folkestone natychmiast, panna Davis zamartwiłaby się na śmierć.

- Jeśli ją stać na odwagę, ja też mogę być na tyle dzielna, by nie puścić pary z ust - zdecydowała Corena.

Kiedy dotarła do pokoju swej guwernantki, powie - ,
działa:

- Ponieważ pani nie czuje się dobrze, zamierzam wyjechać na kilka dni z przyjaciółką. Dzięki temu będzie pani mogła wypocząć, a kiedy wrócę, będzie pani t powrotem na nogach.

- To rozsądne rozwiązanie - zgodziła się panna Davis - zaś zmiana otoczenia dobrze ci robi. Zauważyłam, że dziś rano byłaś nieco blada.

„Nic dziwnego”, pomyślała Corena. Nie spała całą noc, martwiąc się o ojca i rozmyślając o wizycie u lorda Warburtona.

- Pójdę się teraz spakować - powiedziała czując, że nie można pozwolić pannie Davis na zbyt wiele pytań - ale naturalnie przyjdę jeszcze powiedzieć pani dobranoc.

- Zabierz swoje najładniejsze suknie. Może spotkasz czarującego młodego Romeo!

To był bardzo stary dowcip - w okolicy było niewielu atrakcyjnych mężczyzn. Corena uśmiechnęła się z wysiłkiem i odpowiedziała:

- Nigdy nie można przewidzieć!

Wróciła do sypialni, myśląc z przerażeniem o Thespidosie i z obawą o lordzie Warburtonie. Wiedziała, że gdyby została przemycona na jacht, a później odkryta, czekałaby ją bardzo

nieprzyjemna rozmowa. Miała wrażenie, że lord w gniewie byłby straszny. Ale nie bała się go tak jak Thespidosa - różnili się od siebie... Jednak lord Warburton, człowiek o takiej pozycji i taki przystojny, powodował, że czuła się mała, nic nie znacząca i zupełnie dla niego nieodpowiednia.

„Taka właśnie jestem! - powiedziała sobie. - Przypuszczam, że gdybym rzeczywiście była inteligentna, pojechałabym do Londynu do ministra spraw zagranicznych i poprosiła go o uratowanie papy”.

Wiedziała jednak, że to wymagałoby czasu. Co więcej, nikt nie miał pojęcia, gdzie Thespidos ukrył jej ojca.

„Gdybym zwróciła się do ministra, on z pewnością skontaktowałby się z policją lub wojskiem w Atenach, co być może byłoby dobrym rozwiązaniem”, pomyślała. Ale coś podpowiadało jej, że Thespidos byłby na tyle sprytny, by uniknąć aresztowania. A będący jego więźniem ojciec zostałby zabity. Mógłby też umrzeć z głodu, zanim udałoby się go odnaleźć.

„Mogę jedynie zrobić to, co mi polecono”, pomyślała z desperacją dziewczyna. Położyła się do łóżka wiedząc, że czeka ją kolejna bezsenna noc.

Corena czekała w holu na parterze. Grek przyjechał punktualnie o dziewiątej drogim powozem zaprzężonym w dwa konie. Nie tracił czasu na uprzejme powitanie, więc dziewczyna szybko zeszła do niego. Bates otworzył drzwi powozu; dziewczyna wsiadła, a jej bagaż został przytroczony z tyłu pojazdu.

- Przyjemnej zabawy, panno Coreno! - odezwał się Bates po ojcowsku. - Zajmę się wszystkim pod pani nieobecność.

- Wiem o tym, Bates; mam nadzieję szybko wrócić.

Kiedy ruszyli, usiadła odsuwając się możliwie jak najdalej od Thespidosa. Zauważyła pełen satysfakcji uśmiech na jego

twarży. Spojrzała na niego przelotnie, po czym odwróciła wzrok, bo już na sam jego widok robiło się jej słabo.

„Nienawidzę go! Nienawidzę go!”, powtarzała w myślach.

Droga do stacji kolejowej zabrała im prawie godzinę; tak jak orientował się Thespidos, mogli złapać pociąg z Londynu, jadący bezpośrednio do Folkestone. Kupili bilety pierwszej klasy, ale na szczęście nie byli sami w przedziale - siedziały tam już dwie osoby. Wprawdzie jedną z nich był starszy dżentelmen, który spał przez większą część jazdy, jednak ich obecność pozwoliła Corenie uniknąć rozmowy z Thespidosem, który siedział naprzeciw niej. Kiedy wyglądała przez okno, czuła na sobie jego wzrok, co było bardzo denerwujące. Nie chciało się jej czytać, ale po pewnym czasie otworzyła kupioną na stacji gazetę i podniosła ją tak, by nie było widać nic poza czubkiem jej kapelusza.

Ubrany na biało steward przyniósł im lunch. Corena zjadła niewiele - miała wrażenie, że przetyka trociny, nie zdając sobie sprawy, jak naprawdę smakuje jedzenie, które podnosi do ust. Zaraz po lunchu Thespidos zdrzemnął się, co sprawiło jej ulgę. Zauważyła, że kiedy śpi, jego twarz jest jeszcze bardziej odpychająca. Miał grube, prostackie rysy, jakich nie spodziewała się u Greka. Jego śniadą twarz znaczyły liczne drobne blizny, co pozwalało się domyślać, że w młodości chorował na ospę. Corena nie miała wątpliwości - jego rysy twarzy wskazywały na twardość i okrucieństwo. Dostrzegła też, że kiedy nie było widać chytrych, wyrachowanych oczu, ta twarz wyglądała starzej. Starła się jednak nie myśleć o Greku, mimo że siedział naprzeciwko.

Jej myśli, jej miłość skupiał na sobie ojciec. Czuła, że on wie, jak bardzo córka martwi się o niego i że stara się go ocalić, nawet jeśli wydaje się to niemożliwe. Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać - na pewno znalazłby rozwiązanie.

Ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, mogła się jedynie modlić i wierzyć, że Bóg jakoś jej pomoże.

Kiedy pociąg dojeżdżał do Folkestone, Thespidos obudził się i powiedział wesoło:

- Zaczyna się przygoda! Gdyby była pani mężczyzną, czułaby pani podniecenie na samą myśl!

- Niestety, jestem kobietą! - odparła Corena.

- Jak sądzę, ma pani na myśli to, że gdyby tak było, zmusiłaby mnie pani przemocą, bym powiedział to, co pani chce wiedzieć.

Corena już zamierzała odpowiedzieć, ale zauważyła, że kobieta w średnim wieku, siedząca po przeciwnej stronie przedziału razem ze starszym panem, spogląda na nią z zaciekawieniem. Nie rzekłszy nic wyglądała więc przez okno do czasu, kiedy pociąg zajechał na stację. Grek, wydając polecenia w ordynarny i nieprzyjemny jej zdaniem sposób, odebrał kufer dziewczyny z wagonu bagażowego. Przy furtce spotkali mężczyznę, który powitał Thespidosą z szacunkiem. Corena stwierdziła, że wygląda na urzędnika.

- Czy wszystko jest przygotowane? - zapytał Thespidos, mówiąc tym razem po grecku.

- Zgodnie z pańskim poleceniem, sir - odparł ten drugi.

Corena zrozumiała tę rozmowę, ponieważ ojciec uczył ją współczesnej greki od najwcześniejszych lat. Znała też trochę - niezbyt dobrze - język starogrecki; jej ojciec płynnie czytał teksty w tym języku. Często tłumaczył je córce, by mogła się rozkoszować odami Pindara i dramatami Sofoklesa.

Zachowała się jednak przewidująco i nie dała po sobie poznać, że rozumie to, co mówią. Pomyślała, że może jakimś cudem dowie się czegoś o ojcu. Najważniejszą rzeczą było poznać miejsce, gdzie go uwięziono.

Przed dworcem czekał na nich powóz. Thespidos z Coreną wsiedli do środka, a człowiek, który ich powitał, wspiał się na

koziół obok woźnicy, by wskazać mu drogę. Kiedy przejeżdżali szerokimi ulicami miasta, dziewczyna zorientowała się, iż zdążają do portu. Zastanawiała się, co Thespidos zamierza. Było mało prawdopodobne, by usiłował przesz muglować ją na pokład za dnia. W tym czasie z pewnością kręca się w pobliżu marynarze.

Powóz zatrzymał się - Corena stwierdziła, że znajdują się przed jednym z budynków na nabrzeżu. Drugi Grek zszedł z kozła, by otworzyć im drzwi i pomóc wysiąść Corenie. Stali przed drzwiami budynku, który robił wrażenie opuszczonego; czekali, aż Thespidos znajdzie klucz. Otworzył drzwi, a młodszy mężczyzna wszedł pierwszy do środka. Corena podążyła za Thespidosem, który mszył przed nią bez słowa przeproszenia.

Okno przepuszczało dość światła, by Corena zorientowała się, że idą wąskim korytarzem. Potem wspięli się po schodach; prowadzący Grek zapalił stojącą na podeście lampę naftową i podniósł ją, by oświetlić drogę. Weszli do pokoju biurowego.

Wtedy zdała sobie sprawę, że znajdują się w portowym magazynie z nieoczekiwanie dobrze umeblowanym biurem na piętrze. Był tam gruby dywan i okazałe biurko. Jedną ścianę zajmowały półki na segregatory, były tam także dwa fotele i kryta skórą kanapa. Wyglądający jak urzędnik Grek postawił lampę na stole i zszedł na dół. Po kilku minutach wrócił z kufrem Coreny. Umieścił go przy drzwiach i wyraźnie czekał na dalsze polecenia.

- Czy dostarczyłeś to, co ci kazałem? - zapytał Thespidos po grecku.

- Tak, proszę pana, jest na dole.

- Więc przynieś to tutaj! Chcę, by panna Melville to zobaczyła.

Drugi Grek zniknął, a Thespidos odezwał się ostro, zdejmując płaszcz i kapelusz:

- Niech się pani rozgości. Zostaniemy tu do jutra rana, do świtu.

- Chciałabym wiedzieć, co pan zamierza - odparła Corena. - Nie można było rozmawiać w pociągu, ale teraz jesteśmy sami, a ja nie lubię być trzymana w nieświadomości.

- Pokażę więc pani.

Mówiąc to Thespidos podszedł do drzwi; Corena słyszała, jak drugi mężczyzna powoli wchodzi po schodach. Kiedy otworzył drzwi, dostrzegła, że taszczy ze sobą dużą skrzynię. Przyglądała się zaskoczona, po czym zapytała nieswoim głosem:

- Czy w ten sposób zamierza mnie pan wprowadzić na pokład jachtu?

- Wiedziałem, że jest pani inteligentną dziewczyną! - odrzekł Thespidos. - Przekona się pani, że będzie jej tam całkiem wygodnie.

Otworzył wieko skrzyni. Corena zobaczyła, że jest ona wewnątrz wyłożona surową bawełną z czymś miękkim pod spodem. Kiedy zorientowała się, co on zamierza, chciała powiedzieć, że nie da się tam zamknąć i, być może, udusić z braku powietrza. Thespidos odgadł jej myśli i powiedział:

- Będzie pani mogła oddychać. Wywiercimy dziury na górze i po bokach; będzie pani wygodnie, bo w ten sposób transportujemy z Grecji bardzo cenne ładunki!

Z jego tonu Corena wywnioskowała, że zajmuje się handlem bezcennymi antykami, które, jak twierdził wcześniej, należą do jego kraju. Chciał się dowiedzieć, czego szukają jej ojciec i lord Warburton po prostu dlatego, by móc to sprzedać za wysoką cenę w Anglii lub w innym kraju Europy.

Ona miała być wniesiona na pokład w skrzyni, a załoga lorda Warburtona będzie przekonana, że to część jego bagażu. Może więc upłynąć wiele czasu, zanim lord w ogóle dowie się, że ona jest na pokładzie. To był sprytny pomysł - Corena

wiedziała teraz dokładnie, co wymyślił Thespidos. Kiedy oddała się znacznie od brzegów Anglii, lord Warburton poczuje się zobowiązany dowieźć ją do Krissy, by mogła odszukać ojca. Myślała o tym, patrząc na skrzynię.

Kiedy ponownie spojrzała na Greka, zorientowała się, że ten ją obserwuje.

- Czy zamierza mi pani powiedzieć, że jestem bardzo sprytny? - zapytał kpiąco.

- Uważam, że to okropny pomysł! - wykrzyknęła Corena.
- Przypuśćmy, że nikt mnie nie znajdzie. Mogłabym umrzeć z głodu, jeśli nie z braku powietrza!

- Nie docenia mnie pani - powiedział zarozumiale Thespidos. - Oczywiście, że pomyślałem o tym. W skrzyni jest uchwyt zwalniający zamek. Trzeba go lekko nacisnąć, bo inaczej paka mogłaby się otworzyć, zanim pani będzie gotowa się ujawnić.

Corena nagle zaczęła się bać. Czuła, że być zamkniętą w skrzyni i zdaną na łaskę człowieka, który już raz odmówił jej pomocy, było perspektywą tak fatalną, że wszystko inne byłoby lepsze.

- Proszę - powiedziała - nie, nie mogę tego zrobić, niech mi pan pozwoli zobaczyć się z lordem Warburtonem, kiedy się pojawi i błagać go jeszcze raz, by zabrał mnie jako swojego gościa.

- A jeśli odmówi, to co? - zapytał Thespidos. Wiedział, że nie znajdzie na to odpowiedzi, więc kontynuował:

- Nie, mam swoje plany, bardzo sprytne, musi pani przyznać. Nie będzie pani cierpieć niewygodę, a ponieważ w każdej chwili może pani wyjść, nie ma powodu do obaw.

Uśmiechnął się i dodał:

- Proszę pomyśleć, jaki szczęśliwy będzie ojciec, kiedy panią zobaczy!

- Czy przysięgnie mi pan na wszystko, co pan uważa za święte, że zobaczę ojca, kiedy dojadę? - zapytała Corena.

- W chwili, gdy da mi pani lorda Warburtona, przestanę się interesować pani ojcem.

Ta rozmowa powinna ją uspokoić, ale było coś strasznego w sposobie, w jaki Thespidos wymówił nazwisko lorda Warburtona, niemal delectując się nim. Corena była przekonana, że wyobraża sobie, ile radości sprawi mu, kiedy ktoś tak ważny i bogaty znajdzie się w jego szponach. Ale odpędziła od siebie tę myśl. Dla niej liczył się tylko ojciec.

Nie mogła dalej rozmawiać - stojąca na podłodze, otwarta skrzynia przyprawiała ją o dreszcz. Wróciła na kanapę, a Thespidos zwrócił się do drugiego mężczyzny, nazywając go Paulosem:

- Zabierz to na dół i wywierć dziury, tak jak ci powiedziałem. Cztery z każdej strony skrzyni powinny wystarczyć; zdobądź też więcej wyściółki. Musimy być pewni, że damie będzie wygodnie!

Mówił po angielsku, aby Corena mogła zrozumieć, i powtórzył po grecku. Paulos podniósł skrzynię, a po chwili usłyszeli, jak schodzi powoli po schodach.

- Obok jest umywalnia - rzekł Thespidos, wskazując drzwi. - Proponuję, aby po zjedzeniu czegoś odpoczęła pani na kanapie. Szybciej minie noc, jeśli pani zaśnie.

Nie wydawał się szczególnie troszczyć o jej wygodę. Corena chciała powiedzieć, że nie będzie mogła spać, wiedząc, co ją czeka. Miała jednak świadomość, że na uszczypliwość w stosunku do tego człowieka nie może sobie pozwolić. Poszła więc do łazienki w nadziei, że znajdzie tam lustro, by uporządkować włosy po zdjęciu kapelusza oraz umywalkę, by umyć ręce.

Kiedy wróciła do biura, stwierdziła, że pisze coś przy biurku. Zdjął marynarkę i kamizelkę - siedział w samej

koszuli, z szelkami na ramionach. Pomyślała, że to ogromnie nietaktowne, iż traktuje ją tak, jakby była nikim, ale nic nie mogła na to poradzić. Usiadła na sofie.

Po kilku minutach Paulos przyniósł Corenie tacę z posiłkiem, który nie był szczególnie apetyczny. Dziewczyna uznała jednak, że musi starać się zachować siły. Zmusiła się więc do przełknięcia kawałka zimnego mięsa i sałatki. Przyjęła też kieliszek greckiego wina, które nalał Thespidos. Po łyku stwierdziła, że ma smak rodzynek, i nie chciała pić więcej. Poprosiła o szklanekę wody.

Thespidos roześmiał się mówiąc:

- Jeśli ma pani zostać w moim kraju przez dłuższy czas, musi się pani przyzwyczać do smaku naszych win!

Naśmiewał się z niej. Korciło ją, by odrzec, że prędzej wyjedzie z Grecji, a jej ojciec będzie bezpieczny, zanim ona polubi greckie wina, ale pomyślała, że to byłby błąd. Jadła więc dalej, czując, że posiłek jest zupełnie pozbawiony smaku; robiła to jednak nie dla przyjemności, ale by podtrzymać siły.

Thespidos pałaszował ze smakiem i wypił większość wina. Potem powiedział:

- Teraz musimy rozmieścić się na noc; sądzę, że pani nie życzy sobie, bym ją pocałował na dobranoc?

Corena zeszywniała, ale uznała, że odpowiadanie na to byłoby poniżej jej godności. Kiedy Thespidos roześmiał się, ona w popłochu myślała, co ma zrobić, jeśli będzie usiłował ją dotknąć.

Jakby zdając sobie sprawę, o czym dziewczyna myśli, Thespidos odezwał się:

- Jest pani zupełnie bezpieczna. Mam w życiu jedną zasadę - brzmi ona: „Najpierw interesy”, a jutro będzie pani potrzebowała wiele zdrowego rozsądku.

Corena wciąż milczała. Na kanapie była poduszka, na której mogła oprzeć głowę, oraz pled. Przyniósł je Paulos, kiedy zjawił się, by odebrać tace. Corena zdjęła buty i położyła się z głową na poduszce, zamykając oczy. Wiedziała, że Thespidos przygląda się jej z niemiłym wyrazem twarzy. Była jednak pewna, że był szczerzy mówiąc, iż najważniejsze są interesy. Z jego punktu widzenia, gdyby dziewczyna była zbyt wystraszona albo wpadła w histerię, mogłaby odmówić wykonania jego poleceń, nie zważając na karę.

Słyszała, jak Thespidos się krząta, w końcu skrzypnęło składane łóżko w drugim końcu pokoju. Zgasił lampę. Wtedy dziewczyna po raz pierwszy poczuła się nieco odprężona, a kiedy Grek zaczął chrapać, wiedziała, że jest bezpieczna.

W ciemnościach zaczęła rozpaczliwie, z pasją modlić się o pomoc. Przerazało ją to, co przyniesie jutro. Miała jednak przeświadczenie, że lord Warburton, jaki by nie był rozgniewany, kiedy ją odkryje, będzie lepszy niż Thespidos.

Zdawało się jej, że modli się całymi godzinami. Ponieważ jednak nie przespała poprzedniej nocy, zapadła później w niespokojną, meczącą drzemkę; była na wpół uśpiona, na wpół przytomna, ale prawdziwy sen nie nadchodził.

Corena obudziła się, słysząc kroki na schodach. Drzwi otworzyły się; usłyszała, jak Paulos mówi po grecku:

- Jest wpół do szóstej, proszę pana.

Jeszcze jedno potężne chrapnięcie i Thespidos obudził się. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Corena podniosła się z kanapy i weszła do łazienki. Zamknęła drzwi, umyła twarz i ręce, po czym przyglądała włosy. Pomyślała, że nie musi zakładać kapelusza.

Kiedy wróciła do biura, Thespidos był już w kamizelce i zakładał krawat, który musiał zdjąć przed snem.

- Na biurku jest dla pani coś do jedzenia - powiedział. - Lepiej będzie się posilić. Może upłynąć wiele czasu, zanim dostanie pani następny posiłek.

To było rozsądne, choć Corena nie znosiła jego sposobu mówienia. Przygotowano dla niej chleb, masło i kawałek sera, a także, co sprawiło jej ulgę, dzbanek z kawą. Nalała sobie, po czym odezwała się:

- Jest tylko jedna filiżanka. Czy pan nie chce się napić?
- Napiję się później, kiedy dostarczę panią na pokład.
- Skąd pan wie, że oni mnie przyjmą?
- Proszę zostawić to mnie. Doprawdy, mam w głowie dużo oleju.

Odniosła wrażenie, że mówiąc to Thespidos przygląda się jej złośliwie. Zmusiła się do przełknięcia kawałka chleba, który na szczęście był świeży, i takiej ilości sera, aa jaką mogła się zdobyć. Zastanawiała się, czy powiedzieć Thespidosowi, by dał jej trochę jedzenia, które zabrałaby ze sobą do skrzyni, zdecydowała jednak, że skoro on sam o tym nie pomyślał, to musi być jakiś powód, by siedziała tam głodna.

Greki Thespidos założył marynarkę i spojrzął na zegarek.

- Wkrótce musimy wyjść - powiedział. - Niech pani dopije kawę. Poczuj się pani lepiej.

Corena pomyślała, że ma rację. Szybko wypila resztę kawy z filiżanki i ponownie nalała z dzbanka. Mieszając cukier poczuła nagle, że dzieje się z nią coś dziwnego.

Pokój zdawał się wirować wokół niej. Próbowiła przytrzymać się biurka, wyciągnęła rękę, ale nie potrafiła go uchwycić. Chciała zapytać, co się stało, ale nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Okryła ją ciemność.

Rozdział 4

Lord Warburton wyjechał z domu w wyjątkowo dobrym nastroju. Pożegnał się z Charlesem, który powiedział:

- Mam nadzieję, Orionie, że albo szybko znajdziesz swoją Afrodytę, albo zaniechasz pogoni i wrócisz do domu. Masz tu wiele do zrobienia, zwłaszcza jeśli chodzi o konie.

- W tej chwili myślę o zdobyciu większej nagrody.

- Byłbym szczęśliwszy, gdyby twoja Afrodyta była z krwi i kości, i abyś jeździł za nią po całym świecie.

- W takim razie z pewnością nie wróciłbym przez długie lata! - " odrzekł lord Warburton z nieodpartą logiką.

Charles roześmiał się.

- Widzę, że zamierzasz postępować jak rycerz krzyżowy, który nawet nie słyszy krzyków „panny w nieszczęściu” ani jej nie widzi.

Lord Warburton uśmiechnął się.

- Problem z tobą, Charlesie, polega na tym, że jesteś romantykiem; ja odrzuciłem tę postawę przed wielu laty i nigdy tego nie żałowałem!

Charles zdawał sobie sprawę, że to prawda, ale roześmiał się tylko i dalej drażnił się z lordem, aż ten ostatni powiedział:

- Spraw mi ulgę, kiedy znajdę się sam na jachcie, mogąc usiąść i poczytać Sofoklesa, który przemawia z o wiele większym sensem niż ty!

- Żal mi ciebie - odrzekł Charles. - Z Sofoklesa pamiętam jedynie takie słowa: "Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga dziwy człowieka potęga".

- Przypuszczam, że bierzesz to teraz do siebie!

- Gdybym miał pod ręką coś ciężkiego, rzuciłbym w ciebie! - odpowiedział lord Warburton. - Mam też nadzieję, że zwróciłeś uwagę, iż Sofokles sławił mężczyzn, a nie kobiety!

- Jesteś beznadziejny! Umywam ręce! - wykrzyknął Charles.

Żartowali dalej, a po wczesnym śniadaniu lord Warburton udał się na tę samą stację kolejową, z której dzień wcześniej odjechała Corena. Miał zarezerwowany przedział pierwszej klasy. W wagonie drugiej klasy zarezerwowano inny przedział dla jego lokaja i agenta turystycznego, który zawsze podróżował z lordem, by dopilnować, czy wszystko zostało należycie przygotowane do wyjazdu. Jak to się często zdarzało, Warburton niecierpliwie czekał, aż znajdzie się na morzu i podda swój jacht kolejnym doświadczeniom. Na „Węzu morskim” - tak nazwał go właściciel - zastosowano wiele nowatorskich rozwiązań, które wymyślił sam lord. Niewielu zdawało sobie sprawę, że umysł lorda z łatwością swobodnie i po mistrzowsku przechodził od jednej dziedziny do drugiej, chociaż Grecja pozostawała jego głównym obiektem zainteresowania.

Ponieważ we wszystkim, co robił, dążył do perfekcji, świadomość, że jakieś nowe urządzenie na jachcie oznaczałoby usprawnienie, natychmiast wzbudzała jego zainteresowanie. Tak samo natychmiast zamawiano nowe, użyteczne pojazdy i maszyny, które mogłyby być przydatne na farmach lorda. Kiedy znalazł pomyłkę w czytanej książce, od razu wysyłał do wydawcy list, w którym ją prostował.

Myśląc o „Węzu morskim” był przekonany, że jeszcze przed dotarciem do Grecji wymyśli jakieś usprawnienia, dzięki którym jacht jeszcze bardziej będzie się wyróżniał. To zresztą nie było łatwym zadaniem, bo każdy skutnik i potencjalny posiadacz jachtu, oglądając jego łódź był zaskoczony liczbą innowacji, jakie można było na niej znaleźć, a których brakowało na innych jachtach.

- Jak, u diabła, zdołałeś wymyślić coś równie użytecznego, jak sposób zbudowania kuchni? - zapytał lorda księżę Manchester.

- Dawne urządzenie kuchni powodowało ewidentną stratę czasu i stwarzało niewygody dla kucharzy w porównaniu z moim projektem - odparł Warburton.

Książę Walii był w równym stopniu pod wrażeniem komfortu kabin, kiedy lord Warburton zabrał go w tym samym roku na krótki rejs.

- Jedno nie ulega wątpliwości, Warburton - powiedział książę Walii - to, że ty zawsze żyjesz jak lord!

Obaj skwitowali śmiechem tę uwagę, ale Orion zdawał sobie sprawę, że w słowach następcy tronu jest wiele prawdy.

Teraz lord myślał z satysfakcją, że podczas podróży do Grecji na „Wężu morskim” nie będzie żadnych gości.

Stwierdził, że zabieranie na pokład damy jest błędem, o ile nie ma absolutnej pewności, że podczas pokonywania Zatoki Biskajskiej nie zdarzy się lekkie choćby falowanie morza. Ponieważ zaś nie było możliwości upewnić się co do tego o tej porze roku, dużo wcześniej postanowił, że jeśli uda się za granicę jachtem, będzie podróżował sam albo tylko w męskim towarzystwie. Kobiety zawsze cierpiały na chorobę morską, jęczały i narzekały. Co gorsze, jeśli morze było naprawdę wzburzone, tak długo twierdziły, że są przerażone, aż poczuły się bezpieczne w jego ramionach.

W pociągu lord Warburton czytał gazety, ale jego myśli ciągle biegły ku Grecji. Może jakimś cudem uda mu się tym razem znaleźć posąg Afrodyty, o którym słyszał, ale nie był zupełnie przekonany, czy istnieje. W dodatku przyjaciel, człowiek w starszym wieku i o wielkiej wiedzy, napisał do lorda relacjonując pewne plotki. Odnosiły się one do rzeźby odpowiadającej opisowi tej, której lord szukał. Sądzone, że znajduje się ona gdzieś w Delfach, może w pobliżu świątyni Ateny Pronaja. Warburton nigdy by nie uwierzył w te pogłoski, gdyby dowiedział się o nich od kogo innego, ale jego przyjaciel, noszący nazwisko Koukali, to co innego. On

nigdy nie przesadzał, nigdy też, jak długo się znali, nie budził nadziei lorda, jeśli nie istniała szansa na ich spełnienie.

Warburton przypominał sobie, że Koukali mówił kilka razy o astrologach i jasnowidzach, którzy go ciekawili. Teraz uderzyła go myśl, że informacja o Afrodycie może pochodzić od nich, a nie z jakiegoś bardziej wiarygodnego, czy może uczciwiej byłoby powiedzieć, bardziej materialnego źródła. Gdyby tak było, lord miałby niemiłe wrażenie, że wybiera się w pogoń za czymś nieuchwytnym. W Delfach prowadzono ostatnio tyle wykopalisk, że trudno uwierzyć, iż coś mogło umknąć uwadze Francuzów albo Anglików.

Ale, oczywiście, nigdy nie można być do końca pewnym. Przypomniawszy sobie, jak przed kilku laty na Delos, w jaskini koło sanktuarium Apollina, znalazł małą, ale wspaniale wyrzeźbioną, marmurową rękę dziecka. Wyjątkowe było to, że leżała tam przez długi czas, ale nikt nie odkrył jej wcześniej. Lord Warburton przywiózł ją do Anglii i umieścił w Warburton Park na specjalnym cokole. Ilekroć na nią spoglądał, czuł, że czekała na niego przez tyle wieków, które minęły od czasu, gdy została wyrzeźbiona. Jakaś nadprzyrodzona moc, zajmująca się takimi sprawami, postanowiła, że ta rzeźba ma trafić do lorda Warburtona, u którego będzie bezpieczna.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że mógł na nią natrafić jeden z bezwzględnych handlarzy, orientujących się, że sprzedawanie greckich rzeźb gwarantowało łatwy zarobek. Mogła zostać sprzedana komuś, kto by jej nie docenił właściwie, albo komuś, kto nie był w stanie tak wspaniale zaprezentować ją, jak on to uczynił w Warburton Park.

- Może teraz czeka na mnie coś podobnego! - powiedział do siebie lord Warburton. Nagle poczuł potrzebę jak najszybszego zakończenia podróży. Chciał rozejrzeć się wokół świątyni Ateny,

Pociąg przyjechał do Folkestone późnym popołudniem, a czekający na stacji powóz zawiózł lorda na nabrzeże. Warburton z zachwytem spoglądał na swój stojący na kotwicy jacht, na jego piękną linię. Pomyślał, że łódź wygląda raczej jak chart niż wąż i że jest równie zwinna. Na szczycie trapu czekał kapitan ze słowami:

- Witam na pokładzie, milordzie!

- Jestem szczęśliwy, będąc znowu razem z wami - odrzekł szczerze lord Warburton. - Spodziewam się, że możemy wyruszyć, jak tylko ze stacji nadeślą bagaż.

- Przewidywałem, że wasza lordowska mość będzie sobie tego życzył.

Lord wkroczył do salonu - z przyjemnością zauważył, że wygląda bardzo atrakcyjnie, ozdobiony dekoracyjną bawełnianą tkaniną, którą sam wybrał, by pasowała do zielonych ścian. Na podłodze leżał zielony dywan, a drewniane krzesła i sofy były najwygodniejsze z możliwych. Regał wypełniony był książkami, które w większości dotyczyły Grecji. Obrazy na ścianach zostały specjalnie wybrane przez lorda Warburtona, a przedstawiały jego ulubione pejzaże, namalowane przez greckich artystów. Była tam naturalnie jedna ze świątyń Apolla, a obok świątynia Ateny, której teraz lord Warburton przyglądał się z większym zainteresowaniem niż dawniej. Zastanawiał się, czy ma dostatecznie rozwiniętą zdolność jasnowidzenia, by duchy przeszłości przemówiły do niego i wskazały, gdzie pod kamieniami ukryty jest posąg.

Trzy wysokie kolumny pozostałe ze świątyni czyniły ją jednym z najpiękniejszych zabytków Delf, arcydziełem architektury z IV wieku przed naszą erą.

Lord roześmiał się, rozbawiony własną wyobraźnią, i poszedł na mostek zobaczyć, jak kapitan wyprowadza jacht z portu, kierując go na wody kanału La Manche.

Ponieważ bardzo go to zaciekało, późno zszedł pod pokład i zjadł obiad dopiero wieczorem. Chociaż był sam, nie zastanawiając się nawet przebrał się do posiłku, jak zawsze. Siedząc u szczytu stołu rozkoszował się wspaniałym jedzeniem, przygotowanym i podanym równie nienagannie, jak to się działo w Warburton Park. Wypił trochę szampana, a po jedzeniu pozwolił sobie na kieliszek koniaku, zaproponowany przez głównego stewarda.

Kiedy służba wyszła, lord rozsiadł się wygodnie w głębokim fotelu. Szum maszyn brzmiał w jego uszach jak muzyka. Wyposażony we wszelkie luksusy udawał się na ekspedycję, którą uważał za ekscytującą. Był przekonany, że po tym, co powiedział kapitanowi, „Wąż morski” pobije wszelkie rekordy szybkości w drodze do miejsca przeznaczenia. Siedział zatopiony w myślach. Późnym wieczorem udał się do kajuty. Tam czekał na niego lokaj, człowiek służący u lorda od ponad dziesięciu lat, który znał go lepiej niż ktokolwiek inny.

- Założę się, że jest pan zadowolony, milordzie - powiedział Hewlett z pełną szacunku poufałością służącego mającego szczególne przywileje u swego pana.

- Wiesz, że właśnie to sprawia mi największą przyjemność, Hewlett - odparł lord Warburton.

- Wiem o tym, milordzie, ale inni nigdy nie rozumieją, ile dla waszej lordowskiej mości znaczy to, co oni nazywają „kawałkiem starego kamienia”.

- A co to znaczy dla ciebie, Hewlett? - spytał Warburton, zdejmując wieczorowe ubranie.

- Szansę ucieczki od tych wszystkich gadułów w Warburton Park i kobiet, które nie umieją trzymać rąk przy tobie!

Warburton nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Wiedział, że Hewletta, tak jak i jego, ścigają kobiety, które

uważają, że jest zabawny i atrakcyjny. Ale także nie potrafiły zapędzić go w ślepą uliczkę.

- A czego milord będzie szukał tym razem? - zapytał Hewlett.

Lord Warburton powiedział mu prawdę, bo lubił swego lokaja i wierzył mu bardziej niż komukolwiek.

- Mam nadzieję, Hewlett, że odnajdę posąg Afrodyty, która była, jak wiesz, grecką boginią miłości.

- To brzmi interesująco, milordzie - odrzekł lakonicznie Hewlett - ale ja mam nadzieję, że nie będzie ona żądać od waszej lordowskiej mości zbyt wiele!

Lord nie odpowiedział, choć był rozbawiony; nie było zresztą potrzeby, bo Hewlett już opuszczał kabinę.

- Dobranoc, milordzie - mruknął zamykając drzwi.

Warburton z uśmiechem położył się do łóżka. Świadomość, że Hewlett lubi te wyprawy tak samo jak on, sprawiała mu przyjemność. Dobrze wiedział, że inny służący mógłby uznać za nieznośne zmiany klimatu, czy znoje i niewygody, towarzyszące wykopaliskom. Jednak Hewlett przeszedł nad tym do porządku dziennego i zawsze miał do powiedzenia coś zabawnego, co wywoływało śmiech jego pana.

Po lekkim kołysaniu jachtu lord poznał, że wyszli na pełne morze, a szum maszyn ukołysał go do snu.

Po nocy pozbawionej sennych marzeń Warburton obudził się pełen energii i pospieszył na pokład, jak tylko zdążył się ubrać. Miał słuszość twierdząc, że „Wąż morski” jest w stanie osiągnąć czternaście węzłów. Szybko płynęli wzdłuż północnego wybrzeża Francji, zmierzając na południowy zachód przez Zatokę Biskajską; szybkość jachtu przekraczała trzynaście węzłów, a jego właściciel był z tego niesłychanie dumny.

- Jeśli będzie pan w stanie utrzymać tę prędkość, kapitanie, dotrzemy do Krissy szybciej niż sądziłem - powiedział.

- Czy tam zamierza pan wysiąść, milordzie?

- Tak, ale celowo nie mówiłem o tym nikomu aż do tej chwili.

- Cieszy mnie to, milordzie. Warburton spojrział zdziwiony na kapitana.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Zanim wasza lordowska mość wszedł na pokład, w porcie kręcili się jacyś dziwni, wścibscy ludzie wypytując, dokąd zmierza jacht.

- Prasa?

- Tak sądzę, milordzie. Oni zawsze interesują się arystokracją, a szczególnie waszą lordowską mością.

- A dlaczego? - zapytał ostro lord Warburton. Kapitan zastanowił się, po czym odrzekł:

- Przypuszczam, milordzie, że jest pan bardziej tajemniczy niż inni dżentelmeni.

- Co pan ma na myśli? - zapytał lord uznając, że to dziwne sformułowanie.

- Cóż, milordzie, jest pan bogaty, wpływowy, pańskie konie należą do najlepszych w Anglii, ale wyrusza pan samotnie, by tak rzec, na wyprawy takie jak obecna, i nikt nie wie na pewno, gdzie będzie można pana znaleźć.

To była prawda. Lord Warburton już dawno przekonał się, że ujawnianie, dokąd zmierza, jest wielkim błędem. W przeszłości zdarzało się, że kiedy wyruszał, nachodzili go przyjaciele, znajomi i dziennikarze z gazet. W tej sytuacji nie mógł niekiedy opędzić się przed gościnnością, której nie zamierzał przyjąć. Często też uniemożliwiała mu to szybki wyjazd na wyprawę, w którą wkładał całe serce. Dotyczyło to zwłaszcza wypraw do Grecji. Teraz myślał z satysfakcją, że

okazał się bardzo rozsądny, nie informując o celu podróży nawet kapitana, zanim łódź nie wyszła z portu.

Spędził na mostku większość dnia, jeśli nie liczyć szybkiego marszu po pokładzie dla utrzymania kondycji. Rozkoszował się ciepłem słońca i słonym wiatrem, który zdawał się przybierać na sile, gdy zbliżali się do Zatoki Biskajskiej. Wkrótce coraz wyższe fale dały jasno do zrozumienia, że czeka ich ciężka przeprawa.

Następnego ranka Hewlett zjawił się u lorda Warburtona ze słowami:

- Jeśli morze wzburzy się jeszcze bardziej, milordzie, to wydaje mi się, że będzie rozsądnie umieścić tę skrzynię w bezpieczniejszym miejscu.

- Jaką skrzynię? - zapytał lord. - Nie wiem, o czym mówisz.

- Tę dużą skrzynię z napisem „Ostrożnie! Kruchy Ładunek”, którą wasza lordowska mość kazał wstawić do sąsiedniej kabiny.

Hewlett przerwał, po czym dodał:

- Ten, kto ją wniósł na pokład, niezbyt mądrze ustawił ją na samym środku. Jeśli zaczniesz kiwać, zawartość może się uszkodzić.

- Nadal nie rozumiem, o czym mówisz - powiedział lord znudzonym głosem. - Przed wejściem na pokład nie wydawałem żadnych poleceń dotyczących wnoszenia czegokolwiek. Co więcej, nikt nie wiedział, kiedy się tu zjawię, wyjąwszy kapitana i ciebie.

- Powiedziano mi, że skrzynię przyniesiono rano tego dnia, kiedy weszliśmy na pokład i zgodnie z instrukcjami waszej lordowskiej mości postawiono w kajucie sąsiadującej z pańską.

Lord Warburton milczał, a Hewlett po chwili powiedział:

- Może lepiej, by wasza lordowska mość rzucił na to okiem po śniadaniu.

- Zobaczę, kiedy się ubiorę - odrzekł lord zastanawiając się, co zawiera ta skrzynia. Skąd ktoś wcześniej rano mógł wiedzieć, że wejdzie na pokład tego samego dnia koło szóstej po południu? Wysłał z Warburton Park posłańca, obliczywszy, że jeśli ten pojedzie wcześniejszym pociągiem, zjawi się w porcie dokładnie dwie godziny przed nim samym. To miało dać kapitanowi czas na rozgrzanie maszyn, a szefowi kuchni na zadbanie o świeżą żywność. Ale nie życzyłby sobie by w tym czasie ktoś plotkował czy spekulował na temat celu jego podróży. Tego nie lubił. Postępował tak od trzech lat i był z tego zadowolony. Co więcej, nigdy nie było problemów z załogą, która o tej porze roku zawsze była w gotowości na wypadek, gdyby jacht był potrzebny.

- Skrzynia - co w niej może być? - zapytał sam siebie, czesząc włosy przed lustrem. Stał na szeroko rozstawionych nogach, by utrzymać równowagę podczas przechyłów. Hewlett pomógł mu założyć żeglarską kurtkę ze złotymi guzikami. Następnie lord, zamiast pójść do salonu, gdzie czekało na niego śniadanie, wszedł do sąsiedniej kabiny.

Budując jacht urządził to pomieszczenie w sposób odpowiedni dla każdej kobiety, którą mógłby chcieć gościć. Została umeblowana, zanim Warburton zdecydował, że kobiety to utrapienie i że w podróż będzie zabierał wyłącznie mężczyzn. Zasłony zakrywające bulaje były różowe i miały wzór w postaci lilii. Ten sam materiał, elegancko udrapowany, osłaniał łóżko i był przymocowany do wyrzeźbionego na suficie kwiatu. Kapę wykonano z różowej, pikowanej satyny, ściany były białe. Kabina wyglądała na nie używaną, choć stanowiłaby wyśmienite otoczenie dla każdej kobiety, która by ją zajęła. W tej chwili była jednak pusta, jeśli pominąć dużą, brzydką, stojącą na środku skrzynię.

Jak zauważył Hewlett, gdyby morze było bardziej wzburzone, ta paka przesuwałaby się od ściany do ściany, niszcząc swą zawartość. Lord Warburton pomyślał, że obawy służącego były słuszne, kiedy zobaczył napis: „KRUCHY ŁADUNEK - OSTROŻNIE, TĄ STRONĄ DO GÓRY”. Przyjrzał się ładunkowi usiłując sobie przypomnieć, czy jednak nie zamówił dodatkowo porcelany albo szkła stołowego. Wiedział, że jego sekretarz, który zajmuje się takimi sprawami, po powrocie z poprzedniej podróży natychmiast uzupełniłby wszystko, co zostało rozbite albo zniszczone. Nie pamiętał jednak, by sam kupował cokolwiek; w każdym razie nic takiego, co trzeba by chować w tak wielkiej skrzyni.

Następnie dostrzegł stojący obok kufer i to także wydało mu się dziwne. Nie miał żadnych oznaczeń, inicjałów ani też herbowej mitry, która dekorowałaby bagaż większości znajomych lorda. Kiedy Warburton wraz z Hewлетtem przyglądali się dziwnemu pakunkowi, silna fala pochyliła jacht do przodu, potem do tyłu; zauważyli, że ciężki ładunek lekko się przesunął.

- Masz rację, Hewlett - powiedział lord Warburton. - Trzeba to postawić w bezpieczniejszym miejscu, choć nie mam pojęcia, co jest w środku.

- Czy mam ją otworzyć, milordzie?

Mówiąc to Hewlett przyjrzał się bokom skrzyni, po czym dodał zdziwiony:

- Ona nie jest zamknięta, milordzie!

Lord Warburton jeszcze raz pomyślał, że to dziwne, ale powiedział tylko:

- Więc otwórz ją!

Hewlett złapał za uchylone wieko i odsunął je z łatwością, która go zdziwiła. Lord Warburton podszedł bliżej. Osłupiał ze zdziwienia, patrząc na to, co było w środku. Przez chwilę

sądził, że śni, że nie jedzie do Grecji szukać Afrodyty, o której mówił mu Koukali, ale że tę Afrodytę przysłano jemu.

Upłynęło kilka sekund, zanim przekonał się, że widzi nie marmurowy posąg, ale głowę żywej kobiety, która oddycha. Była bardzo blada, co początkowo skłoniło go do wniosku, że jest wykuta z kamienia, ale na tle policzków widać było jej ciemne rzęsy. Także włosy, miękko układające się na wypukłości czoła były prawdziwe, nie wyrzeźbione. Miała mały, prosty nos Afrodyty, której szukał, wargi miały taki kształt, jakiego oczekiwał od wytęsknionej rzeźby, zaś drobny, nieco szpiczasty podbródek był jak żywcem wzięty ze snów lorda.

Usłyszał głos Hewletta, dochodzący jakby z innego świata:

- Na Boga, toż to pasażer na gapę!

Te słowa przywróciły lorda Warburtona do rzeczywistości.

- Pasażer na gapę? - powtórzył oszołomiony.

- Właśnie tak, milordzie, i o ile ona nie udaje, że śpi, to sądzę, że dano jej jakiś narkotyk!

- Nie mogę uwierzyć! - szepnął Warburton.

Kiedy pochylił się nad skrzynią, by zdobyć pewność, że naprawdę jest w niej kobieta, ta ostatnia bardzo powoli otworzyła oczy. Przez moment patrzyła nieprzytomnie, zamrugała i ponownie podniosła powieki. Wciągnęła głęboko powietrze - lord Warburton i Hewlett obserwowali ją, oniemiała z zaskoczenia. Przestraszonym, ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

- Gdzie... gdzie jestem?

Słyszając jej słowa Warburton ostatecznie przekonał się, że to ludzka istota, a wrażenie, że jest Afrodytą, zamieniło się w irytację, że został oszukany. Jednocześnie zauważył, że była zakryta pod szyję białą tkaniną, a jej głowa spoczywała na

białej poduszce. Kiedy fale uderzały o szyby bulajów, a w kabinie ściemniło się, łatwo było sobie wyobrazić, że jest to postać wykuta w marmurze.

Lord nie odpowiedział; kiedy szeroko otworzyła oczy, przekonała się, że patrzy na nią. Z jej piersi wyrwał się mimowolny okrzyk, jak gdyby się przestraszyła, po czym powiedziała:

- Ach... to pan!

Było to niewyraźne, ale dosłyszalne.

- Jeśli wie pani, kim jestem, to może poinformuje mnie pani, co tu robi.

Corena odwróciła głowę. Potem, jakby uświadomiwszy sobie, że on czeka na odpowiedź, zapytała:

- Czy jestem na pańskim jachcie?

- Tak jest! - potwierdził lord Warburton. - Nic dziwnego, że chciałbym dowiedzieć się, skąd pani się tu wzięła!

Corena próbowała się podnieść. Kiedy to robiła, wszystko wokół wydawało się falować; poczuła suchość w przełyku i w ustach.

- Czy mogłabym... prosić o coś do picia? - zapytała z wahaniem.

Pomyślała, że na pewno dano jej jakiś narkotyk, ale zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie wytłumaczyć tego lordowi Warburtonowi.

Jej umysł stopniowo rozjaśniał się. Przypomniała sobie, jak Thespidos namawiał ją, by wypić kawę; zrobiła to i niczego więcej już nie pamięta. Teraz zorientowała się, że Grek pozbawił ją przytomności, by nie przeszkadzała, kiedy uwięzili ją w skrzyni czekającej już na dole. Musieli ją wnieść na pokład, dokładnie tak, jak zapowiedział Thespidos. Teraz, kiedy znajdowali się na morzu, lord Warburton odkrył ją. Kiedy wszystko to dotarło do niej, przestraszyła się i poczuła, że drży. Zamknęła oczy i usłyszała jakiś głos, mówiący:

- Przyniosłem kawę dla panienki, milordzie. Jeśli dano jej narkotyk, a tak na pewno było, to szybciej rozjaśni się jej umysł.

- Narkotyk? - zapytał ostrym tonem lord Warburton. - Dlaczego myślisz, że dano jej narkotyk?

Hewlett nie odpowiedział - pochylił się nad skrzynią, uniósł nieco głowę Coreny i przystawił do jej warg filiżankę napelnioną kawą. Piła ją małymi łydkami, zastanawiając się jednocześnie, jak ma wyjaśnić są obecność na jachcie i jak długo na nim przebywa. Kiedy wypła pół filiżanki, Hewlett opuścił jej głowę na poduszkę i rzekł do lorda:

- Myślę, milordzie, że dobrze byłoby dać panience czas, by przyszła do siebie, że się tak wyrażę. Jeśli pójdzie pan na górę na śniadanie, ja przyniosę jej coś do jedzenia i picia, a pan porozmawia z nią trochę później.

Corena znowu zamknęła oczy. Modliła się, by lord Warburton przystał na to, co zaproponował ten człowiek, który musi być jego lokajem. Dałoby jej to czas do namysłu.

- Doskonale, Hewlett - rzekł lord po chwili milczenia. - Pójdę na śniadanie, jak radzisz. Kiedy ta młoda kobieta poczuje się lepiej, uświadom jej, że życzę sobie jak najszybciej porozmawiać z nią w salonie.

- Tak jest, milordzie.

Corena słyszała, jak lord Warburton wychodzi z kabiny, poruszając się ostrożnie z powodu kołysania jachtu. Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Hewlett chwycił ją za ramiona i podniósł, by mogła usiąść.

- Teraz proszę pozwolić, że pomogę pani wyjść z tej trumny, panienko! - powiedział pogodnie. - Połóż się pani na łóżku, a ja przyniosę coś do jedzenia i więcej kawy. Wkrótce poczuje się pani jak nowo narodzona!

Jego słowa brzmiały tak sensownie, że Corena zmusiła się do odpowiedzi.

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem - czuję się trochę otepiała.

- Oczywiście, że tak! - rzekł Hewlett. - A teraz podnosimy się, raz - dwa! Wkrótce przyjdzie pani do siebie.

Wydostał ją ze skrzyni i chociaż starała się iść sama, prawie przeniósł ją przez kajutę. Przy przechyleniu się jachtu prawie upadła na niego. Kiedy kładł ją na łóżku, z ulgą opadła na poduszki. Przyszła jej wtedy do głowy przerażająca myśl, że być może Thespidos rozebrał ją i zabrał ubranie. Otworzyła oczy, by sprawdzić, i ku swej uldze stwierdziła, że ma na sobie tę samą niebieską suknię, w której jechała do Folkestone. Przynajmniej w tej sprawie zachował się przyzwoicie; przypomniała sobie jednak jego ohydne sugestie w związku z lordem Warburtonem.

Obawiała się, że upodabniając ją do posągu i przykrywając białą tkaniną, by stworzyć wrażenie, że jest z kamienia, postarał się uczynić to złudzenie jeszcze bardziej przekonywującym i umieścił ją w skrzyni naga. Stwierdzenie, że ta obawa jest nieuzasadniona, sprawiło jej taką ulgę, że zamknęła oczy. Chciała znów odpłynąć w nieświadomość, jak w biurze Thespidosa. Zastanawiała się, co za środek jej dał, i pomyślała, że to było laudanum albo inny narkotyk. Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna, i postanowiła zapytać o to lokaja.

Ten ostatni opuścił już kabinę, zapewne po to, by przynieść jej śniadanie. Pomyślała, że dobrze byłoby umyć ręce i twarz. Byłby to jednak zbyt wielki wysiłek; Corena wciąż czuła się bardzo dziwnie; jakby tylko połowicznie władała swymi zmysłami: Kiedy służący odezwał się do niej ponownie - a zdawało się jej, że upłynęło dużo czasu - miała wrażenie, że jego głos dobiega z oddali. Odpowiadała z trudem.

Po chwili Hewlett podał jej kawę. Gorący, mocny napój rozgrzał jej ciało - wszystko stało się bardziej rzeczywiste i spójne.

- A teraz, panienko - rzeki lokaj - trzeba coś zjeść i dobrze się wyspać. Wpływamy na wzburzone wody i lepiej będzie zostać w łóżku niż ryzykować połamanie rąk albo nóg, jeśli nie będzie pani uważać!

Corena uznała to za dobry pomysł. Potem odezwała się głosem niewiele donośniejszym od szeptu:

- Czy jego lordowska mość chce mnie widzieć?

- Jego lordowska mość może poczekać! - odparł Hewlett.

- Teraz, podczas gdy pani będzie jadła jajko, zanim wystygnie, ja rozpakuję pani kuferek!

Corena miała poczucie, że jest w rękach miłej i sprawnej niani. A ponieważ niani zawsze należy słuchać, bez sprzeciwu zrobiła to, co jej polecił. Zjadła jajko, napiła się jeszcze kawy i zauważyła, że w tym czasie Hewlett wypakował większą część zawartości jej kufra. Powiesił nawet suknie we wbudowanej w ścianę szafie. Następnie położył na łóżku nocną koszulę i powiedział:

- Wrócę za kwadrans i mam nadzieję, że zastanę panią rozebraną, w łóżku!

Wyszedł z kabiny, nie czekając na odpowiedź.

Powoli, czując zawroty głowy, Corena zeszła z łóżka i poruszając się z wielką ostrożnością dotarła do łazienki. Uświadomiła sobie niejasno, że prywatna łazienka przy kabinie to na morskim jachcie rzecz niezwykła. Z trudnością jednak przychodziło jej myśleć o czymś innym niż ona sama. Zdjęła ubranie i umyła się w miednicy czując, że nie poradziłaby sobie z przygotowaniem kąpieli. Założyła nocną koszulę i ostrożnie, obawiając się, by przechył nie rzucił nią od ściany do ściany, podreptała do łóżka, które wydawało się jej oazą bezpieczeństwa.

Kiedy wśliznęła się pod kołdrę i oparła na poduszkach, poczuła ból głowy i stwierdziła, że potrzebuje snu bardziej niż czegokolwiek innego. Nie słyszała, kiedy Hewlett wrócił do kabiny i spojrzał na nią z zadowoleniem. Nie słyszała też, jak zabiera jej ubranie z łazienki i zaciąga zasłony na bulajach.

Corenę rozbawiłaby jego późniejsza rozmowa z lordem Warburtonem, gdyby ją mogła słyszeć.

- Co teraz robi ta młoda kobieta? - zapytał lord, kiedy tylko Hewlett wszedł do salonu.

- Śpi, milordzie, jak noworodek! I najpewniej potrwa to przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny!

- Co ona, u diabła, robi na pokładzie? Kto ją tu wniósł?

- Próbowałem się dowiedzieć, milordzie, bo byłem pewny, że zada pan takie pytanie - odrzekł Hewlett. - Wydaje się, że na pokład wnieśli ją dwaj mężczyźni. Widział ich steward, rozmawiał z nimi i pokazał drogę prowadzącą na dół. Twierdzi, że wyglądali na cudzoziemców.

Lord Warburton popatrzył na lokaja.

- Czy powiedział, jakiej narodowości?

- Tego nie wie, milordzie, ale szef kuchni, który słyszał rozmowę mówi, iż jest pewny, że to byli Grecy.

Lord podniósł się w fotelu.

- Grecy? - wykrzyknął.

- Wydaje się dziwne, milordzie, że to Grecy, kiedy my właśnie płyniemy do Grecji!

- Bardzo dziwne! - zgodził się lord Warburton. - Zastanawiam się, czy ona też jest Greczynką?

Głośno wyrażał swe myśli, ale Hewlett odpowiedział swemu chlebodawcy.

- Mówi po angielsku jak należy, milordzie - rzekł - ale jest kobietą, a nie narodziła się jeszcze taka kobieta, która nie znałaby wszystkich możliwych sztuczek! Jeśli o mnie chodzi, może więc być Greczynką albo Hotentotką!

Lord Warburton nie odpowiadał. Zmarszczył twarz i Hewlett zorientował się, że jest poirytowany. Znając nastroje swego pana lepiej niż ktokolwiek uznał, że powinien się wycofać.

Rozdział 5

Corena otworzyła oczy i z ulgą stwierdziła, że czuje się normalnie. Mogła się wreszcie rozejrzeć po kabinie - pomyślała, że jest bardzo ładna. Podobały się jej różowe zasłony w białe lilie. Choć nigdy wcześniej nie była na tak dużym jachcie, zauważyła, że wszystkie sprzęty zostały pomysłowo zaprojektowane i przymocowane do ścian.

Było tam duże lustro z mnóstwem szufladek pod spodem, co czyniło z mebla doskonałą toaletkę. Szafy zakamuflowano malując je na biało, tak jak resztę kabiny. Łóżko było bardzo wygodne; Corena poleżała jeszcze chwilę obserwując, jak światło słoneczne wlewa się do kajuty za każdym razem, kiedy jacht przechylał się na bok. Miała wrażenie, że morze jest spokojniejsze niż wtedy, gdy szła spać.

Nadal jednak z wydarzeń poprzedniego dnia nie mogła przypomnieć sobie niczego prócz tego, że umysł miała wtedy zmacony. Nagle uświadomiła sobie, że skoro czuje się lepiej, będzie musiała stanąć przed lordem Warburtonem. Przebiegł ją lekki dreszcz strachu.

W tej samej chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi; zanim zdążyła odpowiedzieć, pojawiła się w nich głowa Hewletta.

- Dzień dobry, panienko! - powiedział. - Pomyślałem, że pani już nie śpi i nawet nie potrzebuję pytać, czy spędziła pani dobrą noc - wiem, że tak!

- Spałam spokojnie - odparła Corena. - Teraz sobie przypominam, że rozpakowałeś moje rzeczy i dałeś mi coś do jedzenia. Bardzo dziękuję!

- Nie ma za co, panienko. Sądzę, że teraz chciałaby pani, bym przyszykował kąpiel, po czym ubierze się pani i pójdzie do salonu porozmawiać z jego lordowską mością.

Nie czekając na odpowiedź, zniknął w łazience. Dziewczyna zastanawiała się, czy nie powiedzieć, że nadal źle

się czuje i chyba powinna zostać w łóżku jeszcze kilka godzin, zanim spotka się z lordem Warburtonem. Uświadomiła sobie jednak, że to byłoby tchórzostwo. Kiedy Hewlett powiedział, że napełnił wannę i że powinna się pospieszyć, by woda nie wystygła, postanowiła, że musi wstać.

- Wrócę za kwadrans, by zapiąć pani suknię - powiedział lokaj - jestem w tym naprawdę dobry!

Uśmiechnął się do niej szelmowsko i opuścił kabinę. Corena zorientowała się, że musi iść wolno, aby się nie zataczać, i że powinna trzymać się czegoś, kiedy jacht kołysał się na grzbietach fal. Wzięła kąpiel, która sprawiła jej przyjemność. Potem zobaczyła, że Hewlett położył na krześle jej bieliznę. Nie czuła się zakłopotana, że zrobił to mężczyzna. Wczoraj robił wrażenie bardzo troskliwej niani i nadal myślała o nim w ten sposób. Zapięła górne guziki z tyłu sukni i układała włosy, kiedy lokaj wrócił.

- To już lepiej! - powiedział z aprobatą. - Kiedy tylko wyjdzie pani na świeże powietrze, poczuje się pani całkiem dobrze. Ale powinna pani okryć się szalem; na zewnątrz wieje i jest chłodno.

Zapiął jej suknię, przyniósł z szafy ciepły szal i odezwał się jak do nieśmiałego dziecka:

- Chodźmy, pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy! Corena roześmiała się cicho. Przeczesała, że Hewlett dobrze wie, iż w jej przypadku pierwszym krokiem miało być spotkanie z jego panem.

Służący pomógł jej wejść po schodach. Po chwili, kiedy dziewczyna już miała wyjść na pokład, otworzył drzwi prowadzące do salonu i powiedział pogodnie:

- Jest tu młoda dama, milordzie; już całkiem przyszła do siebie.

Corena pomyślała, że to przesada. Spojrzała na lorda Warburtona siedzącego w komfortowym fotelu z książką w

ręce. Przestraszona podeszła do niego nieco chwiejnym krokiem, myśląc w panice, co powiedzieć. Zanim się zbliżyła, lord uniósł się lekko i wskazał jej fotel stojący naprzeciw, mówiąc:

- Należy jak najszybciej usiąść. Morze jest jeszcze bardzo wzburzone, choć najgorsze mamy już za sobą.

Corena posłuchała. Światło wpadające przez szyby oświetlało jej postać, więc lord widział ją doskonale. Dziewczyna nie mogła mu się przyjrzeć równie dobrze, bo oślepiało ją słońce. Siedziała zagłębiona w fotelu, czując się w nim bezpieczniej. Kiedy spojrzała na lorda Warburtona szeroko otwartymi, przestraszonymi oczyma, ten znowu pomyślał, że wygląda raczej jak grecka bogini niż dziewczyna z Anglii. Z wysiłkiem, do którego nie przyznałby się przed sobą, powiedział:

- Może mi pani wyjaśni, skąd się pani tutaj wzięła?

Corena oczekiwała tego pytania. Ale kiedy ono padło, wszystkie myśli uleciały jej z głowy; patrzyła tylko na lorda myśląc, że jest bardzo przystojny, ale że groźnie wygląda. Na próżno starała się sformułować jakąś sensowną odpowiedź; po dłuższej przerwie lord znów się odezwał:

- Czekam! Musi istnieć jakiś powód, dla którego przebywa pani na pokładzie mojego jachtu.

Po raz pierwszy przyszło Corenie do głowy, że widocznie nie rozpoznaje jej, mimo że odwiedziła go w Warburton Park. Nie było w tym nic dziwnego zważywszy, że była wtedy ubrana w czarny czepek i woalkę częściowo zasłaniającą jej twarz, ukryta za przyciemnionymi okularami swego ojca. Przebiegła jej przez głowę myśl, by powiedzieć, że nie ma pojęcia, w jaki sposób się tu znalazła. Ale obawiała się, że wtedy lord wysadzi ją w Gibraltarze, więc odrzekła z wahaniem:

- Ja... to był jedyny sposób, bym mogła dotrzeć do ojca.

Lord Warburton wpatrywał się w nią. Potem rzekł:

- Czy pani chce powiedzieć, że jest panną Melville?

- T... tak.

- A zatem postanowiła pani jechać ze mną, a nie pociągiem!

- Pomyślałam, że tak będzie szybciej... - odparła słabym głosem Corena.

Siedziała w napięciu, czekając, że się na nią rozgniewa, i poczuła ulgę, kiedy lord odezwał się nie podnosząc głosu:

- To zadziwiające, że pani jest taka uparta, a ja mimo to nie mogę uwierzyć, że jedynie chęć szybszego odbycia podróży jest powodem, dla którego narzuciła mi pani podstępem swoje towarzystwo.

Corena wstrzymała oddech czując, że podsunął jej logicznie brzmiące wytłumaczenie.

- Pomyślałam, milordzie, że skoro jest pan tak wybitną osobistością i ma tak ogromne wpływy, mógłby pan pomóc mojemu ojcu, kiedy do niego dotrę.

Lord Warburton spojrzał na nią ponownie.

- Sir Priam, nawet jeśli jest chory, z pewnością nie jest pozostawiony sam sobie, ale ma służących czy przyjaciół, którzy troszczą się o niego.

- Nie jestem tego pewna - odrzekła Corena. - Jeśli papa bada stanowisko, o którym sądzi, że mógłby tam znaleźć coś ważnego, albo kiedy prowadzi wykopaliska, woli być sam.

- Czy twierdzi pani, że ojciec jej jest archeologiem?

- Tak, milordzie. Ma obsesję na punkcie wszystkiego, co greckie, a szczęśliwy jest tylko wtedy, kiedy ogląda odkryte na nowo rzeźby, które może zabrać ze sobą do domu.

- Nie miałem o tym pojęcia - odrzekł lord Warburton. - A kto powiadomił panią o chorobie ojca?

Corena zaczęła szybko myśleć, po czym powiedziała z wahaniem:

- Pewien Grek, który przyjechał z Krissy do Londynu, przywiózł mi wiadomość od ojca.

Ponieważ było to kłamstwo, mówiła nie patrząc na lorda Warburtona. Miała jednak uczucie, że on obserwuje ją bacznie, podejrzewając, że chce go oszukać.

- Gdyby jednak chciała pani udać się do ojca, z pewnością znalazłby się ktoś z krewnych, by towarzyszyć pani w podróży, a przynajmniej jechałaby z panią starsza opiekunka - rzekł po chwili,

- Nie było nikogo takiego.

- Trudno mi w to uwierzyć; pani z pewnością łamie wszelkie konwenanse, panno Melville, nie tylko wchodząc na mój jacht w tak wyjątkowy sposób, ale też podróżując ze mną samotnie.

- Nie będę przeszkodą, przyrzekam, milordzie - rzekła szybko Corena. - Nie musi pan mnie widywać, jeśli pan sobie tego nie życzy.

Lord nadal patrzył na nią sceptycznie, więc szybko dodała:

- Pozostanę w swojej kabinie i będę ją opuszczać tylko wtedy, gdy pan będzie zajęty albo kiedy będzie pan spał.

Corenie plątały się słowa. Zanim lord Warburton zdążył odpowiedzieć, wiedziała, że zastanawia się, czy nie wysadzić jej na brzeg w pierwszym porcie, do którego zawiną.

- Proszę - zaczęła błagać. - Proszę mi pozwolić pozostać z panem. Bałabym się podróżować samotnie.

Wyglądała tak młodo, a przy tym była tak poruszona, że Warburton pomyślał, iż trudno się temu dziwić. Nie lubił jednak, kiedy zmuszano go do robienia czegoś, na co już wcześniej nie wyraził zgody, i pomyślał, że siedząca naprzeciwko dziewczyna jest nie tylko nieobliczalna, ale też zanadto się narzuca. Była jednak taka młoda...

Kiedy tak go prosiła, nie mógł opędzić się od myśli, że jest jedną z bogiń z Olimpu, która prosi o ochronę.

Głośno zaś powiedział:

- Przemyślę pani sugestię, panno Melville, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest bardzo niepraktyczna.

- Ale czy mogę zostać na pokładzie? - zapytała Corena.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy zauważyła leciutkie skrzywienie w kąciku ust lorda, który odrzekł:

- Trudno byłoby mi prosić panią o natychmiastowe odejście. Do wybrzeża Portugalii musiałaby pani długo płynąć, chyba że ma pani delfina, który by panią tam zawiózł!

- Chciałabym móc mieć delfina! - powiedziała cicho Corena. - Takiego jak ten, który doprowadził Apolla do Krissy, dokąd chciałabym dopłynąć z panem.

- Jeśli pani ojciec jest archeologiem, to powinna pani wiedzieć sporo o Grecji - zauważył z pewną niechęcią lord Warburton.

Corena uśmiechnęła się.

- Moja prababcia była Greczynką, milordzie, a babcia, bardzo piękna kobieta, była do niej bardzo podobna.

- Zapewne dlatego pani ojciec tak pasjonuje się tym krajem.

- Kocha tam każdy patyk, każdy kamień - odrzekła Corena - a po śmierci mamy był tak bardzo nieszczęśliwy, że ucieszyłam się, iż tam wraca.

Mówiąc to, przypomniała sobie to wszystko, co zdarzyło się po wyjeździe ojca, że jest w rękach okrutnego Thespidosa.

Nie zdawała sobie sprawy, że jej oczy są bardzo wymowne. Lord Warburton odpowiedział:

- Nie martwiłbym się zbytnio o niego. Może tylko cierpi na febrę, tak powszechną w tej części świata, i zupełnie wyzdrowieje do czasu pani przybycia.

- Modłę się o to - odparła Corena. Zauważywszy, że lord Warburton zaczął rozmawiać z nią bardziej uprzejmie, zapytała zanim zdążył znów się odezwać:

- Czy zabierze mnie pan do Krissy? Po dłuższej przerwie lord rzekł:

- Bardzo mi pani utrudnia odmowę, zważywszy, że nie ma pani nikogo do towarzystwa, a jest pani o wiele za młoda, by podróżować samotnie.

Słowo „piękna” miał już na końcu języka, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Corena szerzej otworzyła oczy.

- Zabierze mnie pan? Och, dziękuję, dziękuję! Jak mam wyrazić swoją wdzięczność?

- Zapewniam panią, że postępuję wbrew swym zasadom i chęci, by płynąć samotnie - rzekł lord Warburton, jakby czuł, że musi sam się co do tego upewnić.

- Przrzekam, że sprawię jak najmniej kłopotów - po - wiedziała skromnie Corena. - Czy mam już odejść?

- Proszę zostać - odparł lord. - Skoro tak długo była pani nieprzytomna, nie należy się zbytnio wysilać, a przy tym łódź nadal się kołysze.

Corena czekała wpatrzona w niego; Warburton ociągając się dodał:

- Może pani tu zostać. Ja za chwilę pójdę zażyć trochę ruchu.

- Dziękuję... dziękuję bardzo.

Po chwili milczenia lord zaproponował:

- Może chciałaby pani przejrzeć książki na tych oto półkach.

- Bardzo bym chciała, ale byłam zbyt zdenerwowana, by o to zapytać.

- Są do pani dyspozycji.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem, podniosła się i powoli, by nie stracić równowagi, podeszła do biblioteczki, klękając przed nią. Zdawała sobie sprawę, że lord Warburton obserwuje ją. Zobaczywszy książki stwierdziła, że są wśród

nich jej starzy przyjaciele, a także pozycje, które od dawna chciała przeczytać. Dostrzegła tom utworów Sofoklesa, zawierający tragedię „Ajas”. Otworzyła książkę i zagłębiła się w lekturze ulubionych fragmentów, zanim jeszcze lord skończył mówić. Nie zauważyła, kiedy zbliżył się i stanął tuż za nią.

- Co panią tak zainteresowało? - zapytał. Odpowiedziała tak, jakby to ojciec zadał jej pytanie:

- Czytałam fragment odpowiadający, jak sędzę, naszej sytuacji:

„Niech nadejdzie świt

Na srebrnych komach rozświetlających niebo

Niech zelżeją wiatry i pozwolą huczącemu morzu

Usnąć na chwilę”.

Tłumaczyła na angielski bardzo muzykalnym głosem, mówiąc raczej z pamięci niż śledząc wieszki tekstu.

Nastąpiła chwila ciszy, po której lord Warburton zapytał z niedowierzaniem:

- Czy mam uwierzyć, że potrafi pani czytać książkę, którą trzyma pani w ręku?

- Czytałam ją już wcześniej, milordzie, razem z ojcem.

- To niewiarygodne, panno Melville! Nigdy nie spotkałem młodej kobiety zainteresowanej Sofoklesem, nie wspominając już o umiejętności czytania tego, co napisał!

- Powiedziałam panu, że w moich żyłach płynie grecka krew - odrzekła Corena - może więc przychodzi mi to z większą łatwością niż stuprocentowym Angielkom.

Lord Warburton usiadł obok i powiedział:

- Skoro podobnie jak ja ma pani w sobie grecką krew, to czy nie sądzi pani, że właśnie z tego powodu Grecja nas pociąga i ciekawi bardziej niż jakikolwiek inny kraj w Europie?

Zakładał, że Corena czuje to samo co on, w czym zresztą nie byłoby nic dziwnego.

- Nas interesuje nie Grecja dzisiejsza czy ludzie, którzy teraz sami siebie nazywają Grekami - odparła Corena. Pomyślała o Thespidosie, zadrżała i dorzuciła:

- Mówimy o Grekach, którzy dali światu coś nowego w czasie, gdy się najmniej tego spodziewał.

Lord Warburton milczał, ale dziewczyna była pewna, że jej słucha, i ciągnęła dalej:

- To grecka filozofia wywarła wpływ na mówiących po grecku Ojców Kościoła i przyniosła nam chrześcijaństwo.

Lord Warburton nadal milczał, więc kontynuowała:

- Słyszałam, że wszystkie wizerunki Buddy na Dalekim Wschodzie wywodzą się z przedstawień Aleksandra Wielkiego, który we wschodnich prowincjach uważany był za wcielenie Apollina.

Uczyniła gest rękami.

- Niech pan pomyśli, ile zawdzięczamy Grekom: początek cywilizacji, którą znamy, początek racjonalnego myślenia.

Miała wrażenie, że lord Warburton wydał odgłos oznaczający aprobatę, ale jego mruknięcie dowodziło zdziwienia; Corena kończyła swą wypowiedź:

- Papa zawsze twierdzi, że Grecy budowali najpiękniejsze świątynie z rzeźbionego marmuru z delikatnością znamionującą potęgę, której nikt nigdy nie przewyższył!

Pełnym ekstazy głosem dodała:

- Ale jeszcze ważniejsze jest to, że kazali rozumowi poszukiwać prawdy, odmawiając wiary w to, że istnieją jakiegokolwiek granice rozumowania!

Ostatnie słowa zabrzmiały jak sygnał grany na fanfarze. Kiedy Corena spojrzała na lorda, dostrzegła, że ten patrzy na nią z całkowitym zaskoczeniem. Nagle zawstydzila się, ponieważ odczuła to, jakby popisowała się przed lordem

Warburtonem, co byłoby bardzo niewłaściwe. Ale ku jej zdziwieniu on pochylił się do przodu i zapytał surowo:

- Kto nauczył panią tego wszystkiego? Kto polecił, by mi to pani powiedziała?

- Ja... ja nie wiem, o czym pan mówi.

- Sądzę, że pani wie! Dowiedziała się pani, że jestem zainteresowany Grecją, i ktoś poinstruował panią, jak należy o tym mówić.

- To nieprawda.

Odstawiła na półkę Sofoklesa i rzekła:

- Przepraszam, że nudziłam waszą lordowską mość. Najlepiej będzie, jeśli odejdę do kabiny.

Wstała, ale lord Warburton wyciągnął rękę, by ją zatrzymać.

- Proszę pozostać - powiedział. - Chcę dowiedzieć się o pani więcej i przekonać się czy mówi pani szczerze, czy też po prostu udaje.

Brzmiało to tak groteskowo, że Corena roześmiała się.

- Przysięgam, milordzie, że mówiłam nie zastanawiając się nad słowami; tak właśnie rozmawiam w domu z ojcem. Przez chwilę zapomniałam, że jestem z kimś obcym, kto może nie rozumieć.

- Ja rozumiem - powiedział z naciskiem lord Warburton. - Dziwi mnie tylko, że mówi pani w taki sposób - chyba że bardzo dobrze nauczyła się pani roli.

Ostatnie słowa dodał po chwili namysłu.

Przez głowę Coreny przemknęło, że umyślnie stara się być sceptyczny i podejrzewa, że jest oszukiwany. Do pewnego stopnia była to prawda, ale rzeczy miały się inaczej, niż on to sobie wyobrażał.

Już same książki powiedziały Corenie, jak wykształconym człowiekiem jest lord Warburton. Pomyślała, że byłoby fascynujące móc porozmawiać z nim w sposób naturalny, bez

dzielącej ich bariery. Bariere tę wzniosła uraza, jaką lord odczuł wiedząc, że dziewczyna została przemycona na jacht, i jej obawa, co zrobi Thespidos, kiedy przybędą do Krissy.

Odpędziła te myśli i powiedziała starając się, by jej słowa zabrzmiały lekko:

- Gdyby wasza lordowska mość raczył kiedyś odwiedzić nasz dom, będący kiepską kopią pańskiego, byłby pan zdziwiony, jak sędzę.

- Dlaczego?

- Ponieważ znalazłby tam antyki, które mój ojciec gromadzi od lat, i mnóstwo półek wypełnionych książkami poświęconymi historii Grecji, podobnie jak u pana.

- Mam nadzieję, że będę mieć przyjemność złożenia państwu wizyty, kiedy wrócę do Anglii - odparł lord Warburton.

- A ja mam nadzieję, że wraz z ojcem będziemy mogli obejrzeć pańskie skarby - powiedziała impulsywnie Corena. W tej samej chwili poczuła, jakby lodowato zimna ręka chwyciła ją za serce - uświadomiła sobie, że jeśli jej ojciec wróci, to lord Warburton będzie zmuszony pozostać w Grecji. Znowu Thespidos zagrażał jej jak wielki, czarny, zły, drapieżny ptak.

Spojrzała na lorda, widząc przed sobą nie przystojnego mężczyznę siedzącego w wygodnym fotelu, ale ofiarę torturowaną przez Thespidosa. Ten ostatni i sprzymierzeni z nim ludzie, chciwi i pozbawieni skrupułów, będą starali się wydobyć z lorda informacje wszelkimi sposobami. Ta myśl przeraziła ją, ale powiedziała sobie, że nie wolno jej myśleć o niczym innym jak tylko o uratowaniu ojca. Jedyne, co może zrobić, to wymienić jednego więźnia na drugiego.

Przez chwilę chciało się jej krzyknąć z przerażenia, ale usłyszała głos lorda, który zupełnie innym tonem powiedział:

- Co panią tak zdenerwowało? Dlaczego jest pani taka przestraszona?

Chciała powiedzieć prawdę, ale Grek ostrzegł ją, że robiąc to podpisze na ojca wyrok śmierci.

- Obawiam się tylko - odparła szybko - że zanim przybędziemy do Grecji stan papy pogorszy się, a ja nie będę w stanie mu pomóc.

Brzmiało to rozsądnie, ale przenikliwość lorda Warburtoha podpowiedziała mu, że coś tu nie jest w porządku.

Aby wypróbować Corenę, zacytował kilka słów ze sztuki Sofoklesa „Ajas”, którą ona przed chwilą odstawiła na półkę: "Wielkie słońce,

Zatrzymaj swe konie w złotej uprzęży Nad moim krajem rodzinnym i opowiedz historię śmierci i upadku mojemu staremu ojcu..." Lord uznał, że jeśli Corena udaje, jak podejrzewał, i nauczono ją zaledwie kilku linijek tekstu, by zrobiła na nim wrażenie, to jest nieprawdopodobne, by znała cały fragment lub zrozumiała to, co właśnie powiedział.

Dziewczyna patrzyła na niego oczyma pełnymi strachu, który nie mógł być udany.

- Dlaczego pan to powiedział? Dlaczego zacytował pan te wiersze? - zapytała niepewnie. - Czyżby wyczuwał pan instynktownie, że mój ojciec nie żyje?

Mówiła z takim podnieceniem, że lord wyciągnął rękę chcąc ją uspokoić.

- Nie, oczywiście, że nie - odrzekł. - Chciałem się tylko przekonać, czy rozumie pani to, co powiedziałem.

- Ale dlaczego wybrał pan właśnie ten fragment, dlaczego to on przyszedł panu na myśl?

Potem, jakby obawiając się, że powie za dużo, podniosła się i odsunęła od lorda. Otworzyła okno wychodzące na pokład. Spoglądała na morze i spienione fale, ale miała przed

oczy ma twarz ojca; czuła, że przyzywa ją, że potrzebuje jej pomocy.

Lord Warburton obserwował ją. Pomyślał, że słoneczny blask na jej włosach i klasyczny profil widoczny, gdy podniosła oczy spoglądając w niebo, są piękniejsze od wszystkiego, co widział kiedykolwiek albo nawet sobie wyobrażał. Jednak chłodny, logiczny umysł mówił mu coś innego.

W jej opowieści była jakaś niespójność, jeśli pominąć już fakt, że dziewczyna znalazła się na jego jachcie jako pasażer na gapę i tak wyśmienicie znała język, który tyle dla niego znaczy. Przebiegła mu przez głowę myśl, że może nie jest to postać realna. Jest istotą nadludzką, która, jak sami bogowie, zeszła z wyżyn, by zwodzić śmiertelnych. Ale natychmiast wyobraził sobie śmiech Charlesa, wykpiwającego jego wyobraźnię.

Przyjaciół powiedziałby z błyskiem rozbawienia w oczach, że panna Melville jest naturalnie najzwyklejszą młodą kobietą. Ma jedynie klasyczne wykształcenie, ale z pewnością istnieje proste wytłumaczenie jej obecności na pokładzie.

Lord Warburton doszedł do wniosku, że wątpliwe jest, by sama wymyśliła tę komedię. Musieli maczać w tym palce ludzie, którzy ją tu przynieśli. Lord pamiętał, że szef kuchni uważa, iż byli to Grecy. Oni docenili w każdym razie jej wygląd i fakt, że przypomina posągi Afrodyty. Posągi, które można było znaleźć nie tylko w muzeach całego świata, ale również w jego domu.

Cała ta historia była zbyt nieprawdopodobna, aby być prawdziwą. Chory ojciec w Grecji, piękna dziewczyna przypominająca boginię i znająca starożytną grekę, przemycona na pokład jachtu tego jednego na milion człowieka, który naprawdę potrafi ją docenić.

Lord Warburton uświadomił sobie, że podróżują bez przyzwoitki. A może na końcu podróży pojawi się sir Priam, zupełnie zdrowy i nie potrzebujący troski i opieki córki? Może zjawi się rozsierdzony ojciec, grożący naładowanym pistoletem, utrzymując, że lord zrujnował reputację jego córki i musi teraz naprawić krzywdy, żeniąc się z nią?

Istniała naturalnie taka ewentualność, ale patrząc na Corenę lord Warburton nie mógł uwierzyć, że mogłaby uczestniczyć w podobnym spisku. A przy tym dziewczyna była autentycznie wystraszona. Zmysł obserwacyjny lorda podpowiedział mu, że nie jest to strach młodej dziewczyny, której ojcu grozi śmierć. To było coś głębszego, bardziej zasadniczego, zagrażającego jej osobiście.

Te myśli podnieciły lorda - poczuł, że wciąga go ten problem tak, jakby chodziło o posąg, który ma zostać przez niego odkryty. Kryjąca się w tym wszystkim zagadka sprawiła, że umysł lorda Warburtona zaczął pracować niczym dobrze naoliwiona maszyna, tak jak wtedy, gdy rozmyślał nad nowymi usprawnieniami na jachcie. Postanowił dowiedzieć się prawdy o pannie Melville i uznał, że nie będzie to zbyt trudne. Kobiety - myślał bez zarozumiałości - nie są w stanie mu się oprzeć. Lord Warburton zapomniał, że w gruncie rzeczy było odwrotnie: częściej to on opierał się kobietom niż one jemu.

W tym przypadku musiał tylko zastosować inną taktykę i wydobyć na światło dzienne prawdę, tak jakby to był starożytny zabytek ukryty głęboko pod powierzchnią ziemi.

Corena stała przy oknie, wpatrzona w horyzont; być może miała nadzieję znaleźć za nim to, czego szukała. Lord Warburton zbliżył się do niej.

- Może zaczniemy od początku? - powiedział ujmującym tonem. - Przede wszystkim proszę powiedzieć, jak pani ma na imię, panno Melville.

- Corena.

- To greckie imię! - wykrzyknął. - To znaczy „dziewczyna” i naturalnie jest pani dziewczyną.

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym odwróciła wzrok, zastanawiając się, dlaczego go to zainteresowało.

- Ja mam na imię Orion - rzekł lord - i, jak sędzę, nie wymaga to żadnych wyjaśnień.

- Naturalnie że nie, ale myślę, że miał pan przez nie kłopoty w szkole, podobnie jak mój papa.

Lord Warburton roześmiał się.

- Tak by z pewnością było, gdybym nie używał wtedy innego imienia - prozaicznego George.

Corena roześmiała się.

- Ono z pewnością nie pasuje do badacza starożytnej Grecji.

- Teraz, kiedy należycie się sobie przedstawiliśmy - powiedział lord Warburton - możemy porozmawiać o Grecji, którą oboje kochamy - bez uczucia zakłopotania czy też wątpliwości, dlaczego to robimy.

- To pan miał wątpliwości - nie ja!

- To prawda - zgodził się - ale musi pani przyznać, że oboje znaleźliśmy się w dość dziwnej sytuacji.

- Nie jest ona dziwna dla kogoś, kto czytał opowieści o antycznych bogach!

Roześmiał się.

- Oczywiście ma pani rację, Coreno, a bogowie mają szczególne przywileje, co daje mi nadzieję, że mogę się do pani zwracać, używając prawdziwego imienia.

Przez głowę Coreny przemknęła myśl, że przypominają parę greckich bogów wracających do domu po wizycie w miejscu, gdzie nikt ich nie rozumiał. Sądząc, że spodoba mu się jej myśl, zacytowała Pindara, którego liczne ody upamiętniały zwycięstwa w greckich igrzyskach.

„Gdzie są sprawy codzienne?
Kim jesteśmy? Kim więcej
Jak tylko cieniem marzenia?"

Te słowa stanowiły wyzwanie dla lorda Warburtona, który niemal natychmiast odpowiedział następnym werselem:

Jesteśmy wszyscy cieniami,
Ale kiedy światłość spływa z rąk Boga
Wtedy niebiańskie światło okrywa ludzi,
A życie staje się czystą słodyczą"

Kiedy wypowiadał te piękne słowa swym niskim głosem, słońce zalało ich światłem pochodzącym wprost z Grecji.

Corena odwróciła się i spojrzała na lorda. Kiedy ich oczy spotkały się, poczuła, jakby rozmawiali słodkim językiem Olimpu. Znikły wszelkie kłopoty i trudności - oboje wznieśli się ponad to. Miała wrażenie, że lord Warburton myśli dokładnie tak samo. Nie było powodu do obaw, ponieważ tworzyli jedność i nic nie było w stanie ich rozdzielić.

Nagle łódź przechyliła się mocniej; Corena wyciągnęła rękę, by uchwycić ramę okna, i wróciła do rzeczywistości. Nie była boginią związaną z herosem o imieniu Orion, tylko dziewczyną zaplątaną w niegodziwy spisek mający na celu uwięzienie ogromnie bogatego człowieka . w zamian za życie jej ojca. Ponownie poczuła, że za ich plecami krąży złowieszczo Thespidos. Myślała o tym, ile zła tkwi w tym człowieku i że jej bezradny ojciec znajduje się w tych okrutnych rękach. Z desperacją stwierdziła, że jest samotna, że nikt jej nie pomoże, że sama jest także więźniem złowrogiego Greka; wtedy usłyszała głos lorda Warburtona:

- Powiedz mi, co cię trapi i zaufaj mi. Obiecuję, że nie będziesz tego żałować.

Kiedy Corena zeszła na dół, by się przebrać do kolacji, czuła niemal zakłopotanie na myśl, że ten dzień jest taki szczęśliwy. Wyjąwszy kilka przerażających chwil, kiedy to

prawda przytłaczała jej świadomość, czuła się jak we śnie. Wiedziała dobrze, że lord Warburton postanowił uspokoić jej obawy. Usiłował przekonać ją, że może mu się zwierzyć z sekretu, który ją tak niepokoi, i że potrafi on rozwiązać wszystkie jej problemy.

Ponieważ łatwiej płynie się z prądem niż pod prąd, pozwoliła się wciągnąć w czarującą rozmowę, tak jakby prowadziła ją z ojcem. Rozmawiała z lordem o bogach i boginiach, którzy, jak często myślała, byli bardziej realni i bliżsi jej niż rówieśnicy. Boskie światło Grecji rozjaśniało nie tylko to, co oglądali, ale także to, co czuli. W obecności lorda Warburtona, tak inteligentnego i odczytanego, Corena czuła się jak kwiat otwierający się w ciepłych promieniach słońca. Rozmawiali, dyskutowali, dopowiadali sobie nawzajem dalszy ciąg rozpoczętych cytatów. Nie zauważyli nawet, że jacht wpłynął na znacznie spokojniejsze wody i przestał się kołysać.

- Jak udało ci się zgromadzić taką wiedzę, w twoim wieku? - zapytał raz lord Warburton. - Mam wrażenie, że nie tylko studiowałaś dzieje antycznych Greków, ale że zdobywałaś wiedzę w innych wcieleniach.

- Oczywiście! - potwierdziła Corena. - Często zastanawiałam się, czy - o ile kiedykolwiek odwiedzę Grecję - poznam miejsce, w którym żyłam.

- A więc muszę cię zabrać na Olimp!

- Który według mojego papy nieco rozczarowuje.

- To zależy, czego się oczekuje! - odrzekł lord Warburton.

- Może to błąd udać się tam, by stwierdzić, że wszyscy bogowie opuścili ten szczyt.

- Tak sądzą ludzie, którzy patrzą jedynie oczami. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Ogromnie chciałabym pojechać na Olimp ale może lepiej nie ryzykować rozczarowania - odezwała się Corena.

- Ja się również tego boję - przyznał lord Warburton. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że nie myśli on w tej chwili o Olimpie, a jego oczy wpatrują się w jej twarz.

Hewlett przygotował kąpiel, a kiedy Corena z niej skorzystała, podeszła do szafy zobaczyć, co może na siebie założyć. Wtedy znów usłyszała oblesny głos Thespidosa, nakazujący jej spakować najpiękniejsze suknie. Zadrżała i z rozmysłem wybrała najprostszą suknię wieczorową. Była biała, nie miała ozdób, jeśli nie liczyć miękkiego szyfonu udrapowanego wokół szyi i na ramionach - Corena miała wrażenie, że zakładając ją przeciwstawia się lubieżnemu Grekowi. Nie zdawała sobie sprawy, że właśnie prostota tej sukni upodabnia ją do ubioru, jaki nosiły boginie. Odnosiło się wrażenie, że jej fałdy zostały wyrzeźbione w ciągu wieków przez niezliczonych artystów.

Corena nie zabrała ze sobą biżuterii, ponieważ ojciec zawsze powtarzał, że niebezpiecznie jest zabierać w podróż klejnoty. Nic więc nie zniekształcało wspaniałej krzywizny jej szyi, nie zasłaniało alabastrowej bieli piersi. Wchodząc do salonu nie zauważyła, że lord Warburton, który na nią czekał, wstrzymał oddech. Pomyślał, że nikt nie może wyglądać piękniej, bardziej eterycznie i - co przyznawał z niechęcią - nieziemsko.

Corena zauważyła, że lord wspaniale prezentuje się w stroju wieczorowym.

Podając jej kieliszek szampana, powiedział:

- Pomyślałem, że powinniśmy wznieść toast za chwałę Grecji i że my sami możemy się w jakiś sposób do tej chwały przyczynić.

- To cudowny toast - wykrzyknęła Corena. - Może odkryjemy coś wyjątkowego.

- „Rozjaśnij niebo i pozwól widzieć naszym oczom. Niech będzie światłość” - zacytował lord Warburton.

Dziewczyna roześmiała się i podniosła kieliszek. Kiedy steward wnosił kolację, zorientowała się, że pierwszy raz w życiu będzie jadła kolację sam na sam z mężczyzną innym niż jej ojciec. Przypomniła sobie, że zawsze oczekiwała, iż będzie to fascynujące przeżycie. Dania zmieniały się, jedno wspanialsze od drugiego; kiedy zapadła ciemność, na stole zapłonęły świece. Corena czuła, że śni, że żaden bóg nie może być przystojniejszy, bardziej pociągający i interesujący niż lord Warburton.

Kontynuowali rozmowę, kiedy stewardzi usunęli stół ze środka salonu. Następnie, ponieważ znacznie się ociepliło i wiatr ucichł, wyszli na pokład. Wschodziły gwiazdy, a młody sierp księżycy wspinał się do nich. Wyglądało to tak pięknie, że dziewczyna podniosła twarz nieświadoma, iż wykonuje odwieczny gest kobiety oddającej się bogom. Lord Warburton stał tuż przy niej - usłyszała jego czuły głos:

- Jak to się mogło wydarzyć? Jak mogłaś przybyć do mnie tak nieoczekiwanie? A przecież czuję, że znam cię całą wieczność!

Odwróciła głowę, by spojrzeć na niego i zapytała pełnym wahania, cichym głosem, który brzmiał, jakby należał do kogoś innego:

- Dlaczego to powiedziałaś? Ja czuję tak samo... Przerwała czując, że powiedziałaaby za dużo.

- ...jak ty! - dokończył lord Warburton. - Moja droga, dzieje się z nami to, co miało się wydarzyć, co być może było nam pisane, odkąd istnieje czas.

- Czy... czy naprawdę w to wierzysz? - szepnęła.

- Wierzę - odparł - i nie biorę cię w ramiona tylko dlatego, że nie chcę cię przestraszyć.

Nie dotknął jej, ale byli coraz bliżej, jego wargi tuż koło jej ust. Wydawało się to Corenie niewiarygodne, ale poczuła,

że on powinien ją pocałować, a ona odda mu serce; nagle wspomniała Thespidosa!

Ta myśl sprowadziła ją na ziemię. Krzyknęła z przerażenia i podniosła ręce, jakby chciała powstrzymać lorda Warburtona. Potem bez słowa wytłumaczenia uciekła. Poruszając się tak szybko, jakby goniło ją całe piekło, szukała schronienia w swojej kajucie.

Rozdział 6

Lord Warburton był zakochany.

Walczył z tym uczuciem, zaprzeczał mu, mówił sobie, że jest głupcem, aż w końcu skapitulował.

To, co czuł do Coreny, różniło się od wszystkiego, co przeżywał wcześniej. Początkowo był całkowicie przekonany, że zafascynowała go po prostu jej piękna twarz, a ponieważ ciągle żywił podejrzenia, usiłował zdemaskować ją na dziesięć różnych sposobów.

Jej znajomość greckich historyków była fantastyczna - przyznawał to uczciwie sam przed sobą.

W miarę trwania podróży, kiedy „Wąż morski” bił rekord szybkości, o co chodziło lordowi, Warburton kładł się wieczorem spać myśląc o Corenie i budził się rano myśląc o niej nadal.

Uznał, że jest cudowna; nigdy do innej kobiety nie czuł tego, co do niej.

Wyrafinowane piękności, z którymi niegdyś przeżywał krótkie i zazwyczaj burzliwe przygody miłosne, dawały mu fizyczne zadowolenie, ale nic ponadto. Inne kobiety, które spotykał za granicą - było rzeczą oczywistą, że w Paryżu znalazł sobie kochankę z półświatka - nie robiły na nim większego wrażenia. Nie pamiętał już, jak się nazywały, a nawet jak wyglądały.

A teraz odnosił wrażenie, że grecka uroda Coreny codziennie wyciska piętno nie tylko w jego umyśle, ale i w sercu. Sądził, że łatwo przyjdzie mu zainteresować ją sobą na tyle, by dowiedzieć się od niej tego, na czym mu zależy. Zamiast tego stwierdził, że oddziela ich od siebie jakaś bariera, charakteru której nie rozumiał, ale której istnienie odczuwał w dojmujący sposób.

Corena słuchała, jak mówi, wpatrując się w niego * swymi dziwnymi, zielonymi oczami z tańczącymi w nich

słonecznymi plamkami; niekiedy lord miał prawie pewność, że dostrzeże w nich to, o co mu chodzi. Był zbyt doświadczony, by nie zdawać sobie sprawy, kiedy kobieta jest nim zainteresowana; czuł, że Corena kocha go, nie miał jednak zupełnej pewności.

Od tamtego wieczora, kiedy uciekła od niego, bardzo uważał, aby nie przestraszyć jej ponownie. Rozmawiał z nią o miłości, co nie było trudne, skoro mówili o greckich bogach i boginiach. Rozmowy te jednak nigdy nie wydawały mu się na tyle intymne, by zdecydował się zrobić to, o czym marzył - wziąć ją w ramiona i pocałować. Lord Warburton nie zdawał sobie z tego sprawy, ale po raz pierwszy w życiu to on musiał zabiegać o kobietę zamiast czekać, aż sama padnie mu w ramiona, zanim jeszcze zdąży poznać jej nazwisko. Po raz pierwszy także bardziej przejmował się jej uczuciami niż swymi własnymi.

Ponieważ Corena była tak niezwykła, taka wrażliwa, obawiał się zrazić ją, a nie chciał widzieć na jej twarzy wyrazu niechęci. Orientował się, że dziewczyna jest wystraszona, ale nie potrafił ustalić, kogo lub czego się boi. Był jednak całkowicie pewny, że to nie on jest przyczyną.

Kiedy rozmawiali ze sobą po grecku, jej oczy aż błyszczały z podniecenia, a przypominający śpiew ptaków śmiech był szczery i nieskrępowany.

- Kocham ją! - powiedział do siebie lord Warburton, kiedy mijali Gibraltar, wpływając na Morze Śródziemne. Zanim dotarli do Sycylii, zdał sobie sprawę, że oddałby wszystko, co posiada, by móc wziąć Corenę w ramiona z poczuciem, że należy do niego.

Ponieważ wyczuwał tak doskonale jej nastroje, zdał sobie sprawę, że w miarę zbliżania się do Grecji coś wprawiało ją w zakłopotanie; starała się to przed nim ukryć. Widział w jej oczach wyraz udreki, który wywoływał w nim fizyczny ból.

Był jednak na tyle inteligentny, by wiedzieć, że jeśli będzie zanadto nalegał, by mu zaufała, mógłby ją łatwo odstraszyć. Chciał, by mu uwierzyła; by nabrała przekonania, że obroni ją przed najstraszniejszym nawet niebezpieczeństwem.

Dni były słoneczne, nad pokładem rozpięto płócienny dach. Siadywali w cieniu na wiklinowych fotelach z podnóżkami i z ożywieniem rozmawiali o Grecji. Dopiero wieczorami, w swej kabinie, lord Warburton uświadamiał sobie, jak oślepiała go uroda Coreny. Jednocześnie dziewczyna pobudzała go swym intelektem. Zdawał sobie sprawę, że to nie tylko sprawa jej rozległej wiedzy i czytania. Działo się tak dlatego, że Corena spontanicznie cała oddawała się dyskusji. Znaczyło to dla niej tyle, ile dla innej kobiety zbliżenie. W rzeczy samej było to na swój sposób uprawianie miłości. Lord Warburton starał się uwieść ją swą osobowością i głębokością wiedzy.

W efekcie zaczął rozumować tak, jak robili to, według niego, starożytni Grecy. Miał świadomość, że jego umysł wiąże go z Coreną, ale chciał o wiele więcej; nie miał jednak pewności, jak to osiągnąć. Tysiąc razy już - już miał wyznać jej miłość. Chciał wziąć ją w ramiona i całować jej wargi, które Stwórca właśnie do pocałunków przeznaczył. Ale w Corenie było coś, co go powstrzymywało. Otaczała ją aura czystości i uduchowienia zarazem, taka, jaka zdaniem lorda musiała towarzyszyć kapłance, która stawiała się Pytią w Wyroczni Delfickiej. W ciemności swej kajuty Warburton widział, jak Corena zajmuje jej miejsce na trójnogu. Wykapałaby się w wodach Kastalii i piła ze świętego źródła. Pomagano by jej ubrać się w specjalne szaty wróżki i zaprowadzono by do świątyni Apollina. Przeszłaby przez cztery główne sale nabożeństw, zanim trafiłaby do adytonu. To była najświętsza część świątyni, mieszkanie boga - mogli tam wchodzić jedynie kapłani.

Widział to wszystko oczyma wyobraźni i czuł w takich chwilach, że sam jest kapłanem z Delf. Dlatego właśnie, kiedy zobaczył Corenę, był przeświadczony, że patrzył już na nią przed tysiącami lat. Widział, jak wpada w trans, zdawał sobie sprawę, że wstąpił w nią bóg. Po raz pierwszy pomyślał o tym któregoś wieczora, gdy zobaczył obrazy ożywiające pamięć tkwiącą gdzieś w zakamarkach umysłu.

Powiedział o tym Corenie następnego dnia. Słuchała uważnie, po czym odezwała się, jakby mówiąc do siebie:

- Brzmiała muzyka... paliło się kadzidło... Pytia niosła naręcze świętych liści laurowych, poświęconych Apollinowi...

Cichy głos zamierał na jej ustach, gdy odezwał się lord Warburton:

- Skąd o tym wiesz? Nie pamiętam, abym czytał o tym w moich książkach!

- Musiałam gdzieś przeczytać... - powiedziała niewyraźnie Corena - a w ręce wkładano jej święte wstęgi, którymi przywiązywano ją do omfalosa. (omfalos - z greckiego omphalos: pępek, środek - półokrągły kamień w świątyni Apollina w Delfach, uważany przez Greków za pępek świata (przyp. tłum.))

- Wierzono, że jest to środek Wszechświata i źródło wszelkiej twórczej siły - mówiła dalej niskim głosem.

Lord Warburton patrzył na nią bez słowa. Zdał sobie sprawę, że jej oczy nie widzą ani jego, ani salonu, w którym toczy się rozmowa. Corena wpatrywała się w odległą przeszłość, przypominała sobie, jak kapłani czekali, aż ona przekaże im posłanie Apolla.

To wszystko było tak dziwne i niesamowite.

Innym razem spontanicznym, szczęśliwym śmiechem dziecka reagowała na opowieści o zwyczajach bogów, jakimi ją raczył. Bogowie żartowali z prostych ludzi, którzy w nich wierzyli. Lord Warburton uwielbiał jej śmiech i starał się

przypomnieć sobie zabawne historyjki i mity, o których nie myślał od lat. Wiedział jednak, że naprawdę chce rozmawiać z nią o miłości.

Czuł, jak uczucie rośnie w nim z każdym dniem, ale obawiał się je wyjawiać, aby Corena nie uciekła od niego jak Dafne od Apolla.

- Co mogę zrobić? - pytał siebie co wieczór, kiedy rozchodzili się do kabin. - Jak mam spowodować, aby mi zaufała i powiedziała, co ją trapi?

Był całkowicie przekonany, że chodzi o coś więcej niż o obawy o zdrowie ojca, o coś, z powodu czego miał czasem wrażenie, że Corena znajduje się tak daleko, iż on nie jest w stanie jej dosięgnąć. Spodziewał się, że dowie się prawdy, zanim dotrą do Krissy. Jednocześnie truchlał na myśl, że kiedy tam dopłyną, ona odejdzie od niego, by połączyć się z ojcem, i że już nigdy jej nie zobaczy. Na tę myśl zaciskał pięści.

Po raz pierwszy w życiu przekonał się, że miłość nie jest tak słodka, ciepła i sentymentalna, jak to sobie, wyobrażał w przeszłości. Potrafiła także być źródłem męki; czuł, jakby w serce wbito mu sztylet. Starał się odwołać do swego uroku, o którym często mu mówiono, by skłonić Corenę do mówienia. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego, kiedy już wydawało mu się, że jego starania zakończą się sukcesem, dostrzegał w jej oczach ból. Odwracała wtedy głowę, jakby nie śmiała na niego patrzeć.

Nieraz, kiedy ich oczy spotykały się, oboje byli jak zauroczeni. Wszystko, co zamierzali powiedzieć, ulatywało im z pamięci, mieli tylko świadomość własnej obecności. Po chwili Corena z wysiłkiem odwracała od niego wzrok i zaczynała mówić o czymś innym - chwila bliskości mijała. Wtedy lord z goryczą uświadamiał sobie, że znów poniósł porażkę, chociaż nie mógł się zorientować, dlaczego tak się dzieje i co ona ukrywa. Wiedział jedynie, że ją kocha i że czas

na pokładzie nie dłuży się, jak przewidywał, ale umyka o wiele za szybko. Obawiał się, że kiedy dotrą do Grecji, utraci ją i pozostanie sam przez resztę życia.

Poprzedniego wieczora, kiedy „Wąż morski” przepłynął Morze Jońskie i wszedł do Zatoki Korynckiej, lord Warburton zażądał, by szef kuchni przygotował specjalną kolację. Po jedzeniu, kiedy służba odeszła, długo siedzieli rozmawiając. Mrok rozświetlały jedynie ustawione na stole świece - na niebie nad ich głowami zaczęły się dopiero pojawiać pierwsze gwiazdy.

- Jutro zobaczysz się z ojcem, Coreno - zaczął lord Warburton.

Obserwował ją bacznie i dostrzegł, że w pierwszej chwili jej oczy rozbłysły na ułamek sekundy, a potem pokryła je nagle ciemność, której nie umiał sobie wytłumaczyć.

- Czy sądzisz, że przybędzie do portu, by cię powitać? - mówił dalej.

Corena rozłożyła bezradnie ręce i odrzekła z wahaniem:

- Nie wiem... może będzie tam ktoś... kto powie mi... gdzie on jest.

- Wątpliwe, aby nadal przebywał w Delfach, jeśli jest ciężko chory - upierał się lord Warburton. - A co o miejscu pobytu ojca mówił ten informator, który odwiedził cię w domu?

- On powiedział tylko, że papa jest bardzo chory i potrzebuje mnie - słowa z trudnością przechodziły jej przez usta.

Lord Warburton zdawał sobie sprawę, że mówienie o tym bardzo ją przygnębia, ale czuł, że musi dowiedzieć się więcej.

- Gdziekolwiek znajduje się twój ojciec - rzekł - zawiozę cię do niego tak szybko i wygodnie, jak to tylko będzie możliwe.

- Dziękuję...

- Nie mogę jednak zrozumieć - ciągnął dalej - kto go dogląda i skąd dowie się, że przybyłaś do Krissy. Na to pytanie nie było odpowiedzi, więc Corena odparła szybko:

- Proszę, nie mówmy o tym dzisiaj. To takie zasmucające, a odpowiedź na wszystkie te pytania poznamy już jutro.

Nastąpiła krótka przerwa, po czym Corena powiedziała głosem, w którym pobrzmiwał strach:

- O której godzinie dopłyniemy?

- Powiadomiłem już kapitana - odparł lord Warburton - że dziś przenocujemy w jakimś spokojnym porcie w Zatoce Korynckiej.

Po przerwie mówił dalej:

- Dotrzemy więc do Krissy rano, powiedzmy o dziesiątej; mam nadzieję, że czekają tam na ciebie dobre wiadomości.

- A co ty będziesz robił?

Oczy lorda Warburtona spoczęły na jej twarzy.

- To oczywiście zależy od tego, jak bardzo będziesz mnie potrzebowała i czy będę mógł coś dla ciebie zrobić - powiedział to w taki sposób, że Corena wstrzymała oddech.

Potem znów patrzyli sobie w oczy, niezdolni do odwrócenia wzroku. Tak jakby obawiając się, że cisza, która zapadła, jest bardziej wymowna od słów, Corena wstała od stołu. Bezwiednie skierowała się na pokład, a lord Warburton ruszył za nią. Podeszła do relingu - ostatnie blaski słońca znikwały za horyzontem. Gwiazdy stawały się z każdą chwilą coraz jaśniejsze i odbijały się w spokojnej toni morza.

Po chwili milczenia Corena spojrzała w niebo i rzekła:

- Widzę Oriona; jest dziś bardzo jasny, jakby świecił specjalnie dla ciebie!

Lord Warburton domyślał się, że mówi tak, by przełamać napięcie, jakie narosło między nimi, i odparł cicho:

- On świeci dla ciebie!

Wydawało mu się, że przebiegł ją dreszcz, zanim odpowiedziała:

- Jesteś taki silny... taki mądry... nikt nie może wyrządzić ci krzywdy, prawda?

Zastanowiło go to pytanie, ale odparł:

- Zranić kogoś fizycznie to nie wszystko; istnieją o wiele bardziej subtelne i okrutne sposoby, by kogoś skrzywdzić.

Corena była tak blisko, że myślał tylko o miłości, która paliła go jak ogień. Musi być głupcem, skoro nie chwytą jej w ramiona i nie mówi, jak bardzo poczuje się zraniony, jeśli ona odrzuci jego miłość. Przyszło mu do głowy, że nie zrozumiała tego, co starał się powiedzieć, więc po chwili ciągnął dalej:

- Sądzę, Coreno, że doświadczyliśmy zupełnie wyjątkowego przeżycia, przebywając razem przez ostatnie dni. Czy będziesz za mną tęsknić, kiedy połączysz się z ojcem?

Po chwili milczenia Corena odpowiedziała:

- Będę tęskniła za naszymi rozmowami, nigdy nie myślałam, że można z kimkolwiek rozmawiać tak jak z tobą.

- Czy będzie ci brakowało jeszcze czegoś? - dopytywał się.

Chciał usłyszeć, że będzie tęskniła za nim Ale Corena odrzekła:

- Otwarłeś przed moim umysłem nowe horyzonty... dzięki tobie zrozumiałam to, czego nigdy dotąd nie pojmowałam, i czy zobaczę jutro Grecję, czy nie, wiem, że ona na zawsze pozostanie w moim sercu.

Mówiła tym samym spokojnym, jakby nie swoim głosem, którego używała, kiedy rozprawiali o Wyroczni Delfickiej. Lord Warburton jeszcze raz odniósł wrażenie, że wymyka się mu, a on nie może jej pochwycić.

- Chcę ci coś powiedzieć, Coreno - rzekł. Przerwała, zanim zdążył powiedzieć coś więcej.

- Muszę iść się położyć. Jutro będzie tyle rzeczy do zrobienia, a ja być może będę musiała oddać część swoich sił ojcu.

Odgadł, że ona myśli w taki sposób, jak uczestnicy igrzysk; potrzebuje tak samo jak oni siły i energii, które ją wesprą.

Corena nie czekała, czy lord Warburton wyrazi zgodę na jej odejście, czy też nie. Powiedziała bardzo cicho:

- Może jutro będę mogła podziękować za całą uprzejmość, jaką mi okazałeś, ale dziś nie umiem znaleźć właściwych słów.

Jej głos zadrżał; lord Warburton odnosił wrażenie, że dziewczyna jest bliska płaczu. Ale dlaczego, dlaczego? Dlaczego nie mogła powiedzieć mu, co ją dręczy, nawet w tej ostatniej chwili, czemu nie pozwala sobie pomóc? Wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać, ale było już za późno. Zanim zdążył się zorientować, co zaszło, zdołała umknąć.

Został sam na sam z morzem, niebem i przerażającym uczuciem, że jutro może utracić ją na zawsze. Kiedy wreszcie udał się do swojej kabiny, usiłował sobie wmówić, że jego obawy są bezpodstawne i że zachowuje się absurdalnie. Kiedy zobaczy się z sir Priamem - i, jeśli okaże się to konieczne, zabierze go na pokładzie swego jachtu do Neapolu, skąd będzie mógł wrócić pociągiem do Anglii - powie mu, co czuje do Coreny. Wówczas naturalnie znikną wszystkie przeszkody, których lord Warburton nie potrafił określić.

Wiedział, że jednym z powodów, dla których tak bardzo starał się nie urazić Coreny mówiąc jej o swej miłości było to, że za punkt honoru uznał traktowanie jej z szacunkiem, ponieważ podróżowała na jego jachcie bez przyzwoitki.

Czułby się tak samo zobowiązany wobec każdej tak młodej i - wiedział o tym - czystej, nie zepsutej osoby. Ale cały aż płonął z miłości, a wszystkie diabły piekielne kusiły go, aby zejść na dół. Wystarczyłoby otworzyć drzwi jej kajuty; może, gdyby powiedział jej o tym, kiedy leżała w łóżku, zrozumiałaby. Może wtedy pojawiłby się w jej oczach blask, który niekiedy dostrzegał - blask miłości.

- Ona mnie kocha, wiem, że mnie kocha! - rzekł do siebie, ale nie był przekonany do końca. Jeszcze raz ogarnęło go zwątpienie; przypomniał sobie strofy Pindara:

„A ludzkie nadzieje

To jadą wysoko, to spadają nisko,

Przedzierając się przez morze fałszywych złudzeń”.

Czy jego iluzje są fałszywe? To pytanie narzucało się z całą mocą. Wiedział, że jedyną osobą, która potrafi udzielić na nie odpowiedzi, jest Corena, śpiąca w kabinie tuż obok.

Kiedy Hewlett opuścił go widząc, że jego pan nie ma ochoty rozmawiać, lord Warburton otworzył okienko. Rozsunął zasłony wpuszczając do środka światło księżyca, który stał już wysoko na niebie. To w nieunikniony sposób skierowało jego myśli ku Corenie; miał wrażenie, że przybyła do niego, tak jak Afrodyta, na księżycowym promieniu.

Potem, gdy stwierdził, że piękno nocy, ponieważ noc należy do niej, jest prawie nie do wytrzymania, zmusił się, by pójść spać. Pomyślał przy tym, że na pewno nie zaśnie.

„Wąż morski” stał na kotwicy, fale cichutko pluskały o burty; wydawało się, że nocna cisza opowiada lordowi o jego miłości.

- O Boże, jak mam ją zdobyć? - zapytał. Zdawał sobie sprawę, że Charles roześmiałyby się na te słowa mówiąc, że takiego właśnie uczucia zawsze życzył lordowi.

Corena przewracała się w łóżku w swojej kajucie. Orientowała się, że nieomal zdradziła się przed lordem Warburtonem, kiedy stał koło niej na pokładzie, pod gwiazdami. Musiała przywołać na pomoc wszystkie siły, by nie powiedzieć mu, jak bardzo boi się tego, co jutro czeka go w Krissie.

Nie wierzyła obietnicom Thespidosa, a myśl o nim unosiła się nad nią niby ogromny sęp, przed którym nie ma ucieczki.

- Muszę przecież uratować papę, muszę! - powtarzała sobie raz po raz, jakby chciała się przekonać, że postępuje właściwie. Ale kiedy ciemność nocy zgęstniała wokoło i zapanowała niczym nie zmacona cisza, Corena musiała przyznać, że oddanie lorda Warburtona w ręce Thespidosa było przestępstwem, złamaniem wszystkich zasad, w które wierzyła. Wszystkiego, co od dzieciństwa wydawało się jej piękne i święte.

Lord wydawał się jej nie Orionem, ale Apollinem. Bogiem, który sam w sobie był częścią Grecji, który dopłynął do jej wybrzeża w Krissie, gdzie oni znajdą się jutro. To on przyniósł światło całemu światu.

Grecy czcili go; Corena pomyślała, że może sobie wyobrazić, jakim był Apollo w ich oczach - równie wspaniałym jak lord Warburton. Nic nigdy nie cieszyło jej tak jak przebywanie z lordem, rozmowy z nim, słuchanie tego, co ma jej do powiedzenia.

Z początku przypominało to przebywanie w towarzystwie ojca. Ale potem zdała sobie sprawę z różnicy; nie tylko dlatego, że lord Warburton był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała, ale także dlatego, że był młody.

Choć usiłowała temu zaprzeczać, pojawiała się między nimi jakaś tajemna nić porozumienia, której nie dało się opisać słowami. Było tak, jakby posługiwali się językiem bogów.

Był taki silny, taki piękny, a przy tym taki spostrzegawczy i wyrozumiały, że Corena była pewna, iż bardzo trudno przyjdzie jej rozstać się z nim. Nie myślała o tym wcześniej, ale teraz nagle zdała sobie sprawę z tego, że lord poczuje do niej pogardę za to, że wydała go Thespidosowi jako zakładnika. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, że może znienawidzić ją po tej zdradzie i nigdy nie będzie już chciał na nią spojrzeć.

- On zrozumie, oczywiście, że zrozumie, że musiałam ratować ojca - powiedziała do siebie, po czym ciągnęła dalej:

- Thespidos zażąda za niego ogromnego okupu, a kiedy lord go zapłaci, wyjdzie na wolność.

W tym momencie przypomniała sobie złowieszczy wyraz twarzy Thespidosa. Poczula, że Grek nie zadowolony się wyłącznie pieniędzmi. Być może zamierza upokorzyć lorda Warburtona, na przykład odbierając mu nie tylko pieniądze, ale i jego skarby, wszystkie te kolekcjonowane od lat greckie zabytki. Na tę myśl o mało nie krzyknęła; potem z jeszcze większym przerażeniem pomyślała, że nawet to może nie wystarczyć podstępnemu Grekowi.

Thespidos mógł powziąć zamiar wydania lorda na tortury, choćby tylko dla własnej rozrywki, aby udowodnić, że Warburton może cierpieć tak samo jak każdy człowiek, który znalazł się w beznadziejnej sytuacji.

- Nie, nie mogę tego znieść! - powiedziała do siebie Corena.

Jakby słysząc jakieś głosy rozlegające się w kajucie, zakryła uszy rękami i ukryła twarz w poduszce.

- Muszę ocalić papę, muszę go ocalić!

Te słowa zabrzmiały niemal głośno, choć były nieco zduszone. Corena słyszała słowa Thespidososa, że jeśli go zdradzi, jeśli lord Warburton dowie się, co on zamierza, jej ojciec umrze i nie będzie to lekka śmierć. Wyobrażała sobie, jak ojciec krzyczy w agonii, i jej samej chciało się krzyczeć, ale głos uwiązł jej w gardle. Gdyby to nie jej ojciec krzyczał z bólu, robiłby to lord Warburton!

Kiedy pomyślała o czekających go cierpieniach, zdała sobie sprawę, że kocha go bardziej niż kogokolwiek na świecie; wiedziała o tym od wielu dni. Kochała jego wyraziste rysy, wysokie, szerokie czoło i kwadratowy podbródek. Kochała wrażliwość jego dłoni, szerokie ramiona i ruchy atlety. Kochała głębię jego głosu, kiedy mówił do niej; na wspomnienie jego słów zadrżała wewnątrz, jakby rozgorzał w niej płomień.

- Kocham go! - powiedziała z rozpaczą.

Nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robi, wstała z łóżka, by podejść do okna. Było otwarte, by do kajuty mogło się dostać chłodne, nocne powietrze. Kiedy rozchyliła zasłony, dostrzegła nad sobą konstelację Oriona. Orion - Apollo: którymkolwiek z nich był, był bogiem i nie wolno jej było go zniszczyć.

"Apollo nie ma schronienia ani świętych liści laurowych; Fontanny milczą teraz; głos ucichł".

Te słowa dobiegły do niej jak wyszeptane pluskiem morza. Corena zdawała sobie sprawę, że gdyby lord Warburton zginął z rąk Thespidososa, jego prawdziwym zabójcą byłaby ona. A był bogiem światła, którego czcił cały świat, świadomie lub nie.

Corena zamknęła oczy. Potem, patrząc na gwiazdy pomyślała, że one wiedzą, co robić i że nie wolno im się sprzeciwiać.

Bez zastanowienia, gnana nagłym impulsem, strachem i zarazem miłością, otworzyła drzwi kajuty. W kompletnej ciemności i przejmującej ciszy nacisnęła klamkę drzwi lorda Warburtona i weszła do środka.

Lord nie spał, rozmyślał o Corenie i swojej do niej miłości; nagle uświadomił sobie, że oto stoi ona o kilka kroków od niego. Światło księżyca rozjaśniało jej włosy, padało na przejrzystą nocną koszulę, którą miała na sobie. Przebiegła mu przez głowę myśl, że zstąpiła do niego sama Afrodyta.

Corena krzyknęła cicho, podbiegła do jego łóżka i upadła na kolana.

- Muszę ci to powiedzieć! - powiedziała pospiesznie zdyszany, przerażonym głosem. - Jesteś w niebezpieczeństwie! Jutro pewien człowiek... będzie czekał na ciebie... ale ja... ja nie potrafię tego zrobić! Teraz już wiem, że nie mogę tego zrobić! Jej głos załamał się; wydawało się, jakby dławiły ją łzy.

- O czym ty mówisz, Coreno? - zapytał lord Warburton. - O czym mówisz?

- On... on powiedział... że jeśli nie przyślę z tobą do Krissy, to zabije papę, a wiem, że już go torturował!

Starając się złapać oddech, dodała:

- Teraz to samo robi z tobą!

Nie była w stanie mówić dalej - z jej oczu popłynęły łzy; Corena ukryła twarz w pościeli płacząc gorzko. Ten dźwięk zakłócił ciszę; wydawało się, jakby przyplął tu wraz z promieniami księżyca. Łkała rozpaczliwie, przerażenie, które nagromadziło się w niej w ciągu ostatnich tygodni, odebrało jej zdolność myślenia. Czowała się jak morderczyni, która zabija zarówno ojca, jak i lorda Warburtona, którego kocha.

Nie zauważyła, kiedy ten ostatni wstał z łóżka, założył ciemny szlafrok, który Hewlett położył na krześle, i zbliżył się

do niej. Pochylił się i delikatnie podniósł ją z kolan, obejmując ramionami. Corena nadal płakała żałośnie, nie mogąc się opanować. Kiedy usiadł na łóżku przytulając ją do siebie, łkała na jego ramieniu. Przytulił ją mocno do siebie, na wargach poczuł miękkość jej włosów.

- Przestań płakać, najdroższa i powiedz mi, o co chodzi - rzekł.

Jego głos, spokojny i zdecydowany, przebił się przez rozpacz Coreny. Łzy płynące z jej oczu nie były już tak rzęsiste. Czowała siłę jego ramion, zdawała sobie sprawę, że jest tak blisko lorda, i przez chwilę czuła się bezpiecznie; strach, jaki wzbudzał w niej Thespidos, trochę zelżał.

Lord Warburton delikatnie - tak delikatnie, że ledwie zdawała sobie z tego sprawę, - dotknął palcami jej podbródka, zwracając głowę Coreny ku sobie. Bardzo wyraźnie widział w świetle księżyca jej rysy. Łzy spływały po policzkach, wargi drżały, a mokre rzęsy przysłaniały oczy, które zamknęła, bojąc się na niego spojrzeć. Patrzył na nią przez chwilę, po czym jego wargi spoczęły na jej ustach.

To dotknięcie nawet jej nie zdziwiło. Odnosiła wrażenie, jakby wszystko, co się dzieje, było nieuniknione, postanowione od chwili, odkąd istnieje czas. Z początku pocałunek był bardzo delikatny i czuły - lord pocieszał Corenę. Następnie, jakby miękkość i niewinność jej warg dodała mu pewności siebie, zaczął obejmować ją coraz mocniej.

Całował ją pożądliwie, władczo, jakby należała już do niego. Corena poczuła, że za tym właśnie od dawna nieświadomie tęskniła. Czowała, jak cała łączy się z nim, jak staje się jego częścią. Pomyślała z przerażeniem, że nie powinna tego robić, ale oddała mu ciało i duszę. Teraz nie czuła się już samotna i wystraszona - wiedziała, że należy do niego.

Całował ją - w końcu lzy przestały płynąć. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła gwiazdy nad jego głową, jakby nie był już człowiekiem, tylko Orionem, jakby oboje znajdowali się w niebiosach i stanowili jedność z bogami.

- Kocham cię! - wyszeptała Corena, czując, że musi to powiedzieć.

Miłość przenikała ją całą - nie była już w stanie myśleć logicznie.

- I ja cię kocham! - powiedział Warburton. - Moja najdroższa, jak mogłaś torturować mnie tak długo, sprawiając wrażenie, że mogę cię stracić?

Nie czekając na odpowiedź całował ją znowu - mocno, zachłannie, jakby opierał się całemu światu, chcącemu mu ją odebrać. Było to tak wspaniałe, tak cudowne, że Corena czuła jak unosi się ku gwiazdom i stapia z nimi.

Po chwili krzyknęła z przerażeniem, wracając do rzeczywistości.

- Ty... ty nie rozumiesz! - wyrzuciła z siebie. - Musisz mnie wysłuchać!

- Mój skarbie, moja ukochana, cudowna mała Afrodyto - powiedział lord Warburton - nie liczy się nic oprócz tego, że kochasz mnie tak, jak ja kocham ciebie.

Znów chciał ją całować, ale Corena siłą woli odwróciła twarz.

- Muszę ci coś powiedzieć, a potem może nie będziesz już mnie kochał.

Lord Warburton uśmiechnął się na ten absurdalny pomysł i powiedział:

- Słucham cię, moja śliczna. Ale nie mogę przestać cię całować; przez tyle dni doprowadzałaś mnie niemal do szału! W całym swoim życiu nie czułem się tak zdesperowany - mówię prawdę!

- Myślałam, że mogę postąpić źle... niegodziwie... - mówiła dalej Corena - teraz wiem, że to niemożliwe, ale nie mogę przecież pozwolić, by zabili papę!

W jej głosie znowu brzmiało przerażenie - Warburton zauważył to. Przygarnął do siebie Corenę i zapytał:

- Opowiedz mi o tym, moja najdroższa, i nie obawiaj się niczego.

- Ale... ja tak się boję!

Po chwili powiedziała ledwo dosłyszalnie:

- Gdybyś wiedział, co zrobiłam, przestałbyś mnie kochać.

- To niemożliwe! Znamy się przecież od zarania czasu - odrzekł lord Warburton - i nic, co zrobisz lub powiesz, nie powstrzyma mnie - będę cię wielbił przez całą wieczność!

Corena jęknęła z cicha i przytuliła twarz do ramienia lorda.

- Opowiedz mi wszystko od początku - rzekł. - Wiem, że chowasz jakąś ważną tajemnicę, której nie chcesz mi powierzyć.

Z wahaniem, zacinając się, Corena opowiedziała mu z płaczem, jak Thespidos pojawił się w jej domu i przekonał ją, że jedynie w ten sposób może uratować ojca. Zastanawiała się długo, zanim wydusiła z siebie:

- On... on powiedział, że muszę spróbować... zainteresować cię sobą, wyraził to okropnymi, niegodziwymi słowami. Właśnie dlatego, kiedy przyszedłem do twego domu, założyłam okulary papę... abyś nie uznał mnie za pociągającą.

- Powinienem się wtedy domyślić - odrzekł lord Warburton - że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Corena opowiedziała mu, jak Thespidos zmusił ją do roli pasażerki na gapę i jak uspił ją przy pomocy kawy. Potem straciła świadomość - obudziła się dopiero na pokładzie „Węza morskiego”. Sposób, w jaki o tym mówiła, jak ukrywała twarz na jego ramieniu, powiedział lordowi

Warburtonowi wszystko, co chciał wiedzieć. Zorientował się, co tak długo oddalało ją od niego. Corenę wystraszyły słowa Thespidosa, polecającego jej uwieść lorda - było to takie wulgarne i poniżające. W oczach Warburtona pojawił się wyraz czułości, który nigdy wcześniej w nich nie gościł.

- Moja kochana, nie obawiaj się. Chyba wiem, jak wyrwać twojego ojca z łap tego potwornego Greka!

- Ale oni mogą cię zabić albo torturować!

- Czy to by cię zmartwiło?

- Kocham cię... tak cię kocham... sama w to nie wierzę, ale nie mogę nic na to poradzić. Jak mogłabym zrobić coś tak szalonego, jak zranić Apollina?

Mówiła trochę niewyraźnie, ale lord Warburton zrozumiał.

- Jestem dumny, moja najdroższa - odrzekł - z tego, że jestem dla ciebie Apollem. Jeżeli myślisz o mnie jako o bogu światła, to muszę zasłużyć na to imię.

- Ale co będzie, jeśli on cię schwyta i zrani?

- Musisz mi zaufać, moja najdroższa - odrzekł lord Warburton. - Ponieważ cię kocham, jestem pewien, że tak jak Apollo pokonam potwora, a ty i ojciec będziecie wolni.

- Musisz być ostrożny, bardzo ostrożny! - ostrzegła go Corena.

- Zaufaj mi - odrzekł Warburton. - Mogłaś mi to wszystko wcześniej opowiedzieć.

- Czy nie jest już za późno?

Znów opanował ją strach; lord Warburton obrócił twarz w stronę Coreny i pocałował ją z wielką delikatnością.

- Jeśli jestem tak doskonały, to musisz mi uwierzyć - rzekł. - A ponieważ ty jesteś boginią miłości, to jestem przekonany, moja najdroższa, że sami bogowie będą cię chronić.

Corenie wydawało się, że mówiąc to lord jaśnieje nieziemskim światłem. Ponieważ chciała mu wierzyć, a w

jego ramionach czuła się taka bezpieczna, poddała się jego pocałunkom. Starła się nie myśleć o tym, co wydarzy się jutro.

Upłynęło wiele czasu, zanim lord Warburton powiedział:

- Teraz, moje najśliczniejsze kochanie, mam zamiar posłać cię do łóżka. Chcę, abyś przespaała resztę nocy, a jutro wsparła mnie, dodając mi siły i odwagi w tym, co zamierzam zrobić.

- Ja... postaram się - odparła Corena słabym głosem.

Trzymając ją w ramionach, lord podniósł się i zaniósł do jej kajuty. Delikatnie ułożył ją na łóżku. Dopiero wtedy dostrzegł, że Corena ma na sobie tylko nocną koszulę - ona, taka czysta i niewinna, nawet tego nie zauważyła. Warburton zdał sobie sprawę z tego, że niewiele kobiet byłoby w stanie zachować się tak jak ona, a żadna z tych, które poznał w przeszłości, nie oddawała mu całej swojej duszy.

- Uwielbiam cię, moja mała Afrodyto! - powiedział. Okrył ją kołdrą. W poświęcie księżycy trudno było uwierzyć, że Corena jest realną istotą, a nie marmurową boginią, której tak długo szukał. Miała ciepłe wargi, drżące pod jego ustami - lord przekonał się, że nikt inny nie jest bardziej rzeczywisty, podniecający, bardziej godny adoracji.

- Dobranoc, moja ukochana - powiedział. - Jutrzejszy dzień minie, a my będziemy znowu razem. Nie będzie już złych potworów, tylko miłość, którą ty przynosisz światu

Pocałował ją jeszcze raz i z trudem zmusił się do opuszczenia jej kajuty. Kiedy wyszedł, Corena zaczęła powtarzać raz po raz:

- Dziękuję ci, Boże... proszę, opiekuj się nim... chroń go i ocal papę... ja nie mogę ich stracić.

Modliła się z gorliwością, płynącą z głębi serca, aż wreszcie, całkowicie wyczerpana, zasnęła.

Rozdział 7

Corena obudziła się, kiedy do jej pokoju wszedł Hewlett. Podniosła się natychmiast, przestraszona, że coś się wydarzyło, kiedy spała.

- Dzień dobry, panienko! - rzekł Hewlett ze swą zwykłą serdecznością. - Jego lordowska mość prosił przekazać, że nie ma pośpiechu; do portu wejdziemy dopiero za godzinę.

Corena nie odpowiedziała; osłabiona ponownie opadła na poduszki. Była wyczerpana łzami wylanymi minionej nocy i czuła się bezradna. Miała wrażenie, jakby bezwolnie dawała się nieść fali i nie mogła zrobić nic, by się jej oprzeć. Nagle przypomniała sobie zapewnienia lorda Warburtona, że kocha ją, poczuła, jak jego słowa płoną w jej ciele, jakby w jej sercu rozbliły się słońce.

- Kocham go! Kocham go! - szeptała do siebie. Ledwie dostrzegła, że Hewlett wyszedł z łazienki i bez

słowa opuścił kabinę. Było to zachowanie niezwykle u kogoś zazwyczaj tak rozmownego. Nie była jednak w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że kiedy ubierze się, zobaczy lorda Warburtona i upewni się, że on ją kocha naprawdę.

A jeśli to wszystko tylko się jej śniło? Nie, była pewna, że to prawda. Ubrała się szybko i zajęła się układaniem włosów. Założyła jedną ze swych najładniejszych sukien. Chciała, by ją teraz podziwiał, chciała być dla niego piękna. Kiedy jednak przejrzała się w lustrze, stwierdziła, że jest bardzo blada, a z jej oczu wyziera strach.

Jacht nie odplynął jeszcze z miejsca, w którym ostatniej nocy stał na kotwicy, ale kiedy była już gotowa, by pójść do salonu na śniadanie, usłyszała szum silników. Pomyślała, że ruszają powoli, ale i to wydawało się jej za szybko - bała się tego, co zastanie po dopłynięciu do Krissy.

Weszła do salonu - lord Warburton już tam był, jak tego oczekiwała. Stał przy oknie patrząc na brzeg i początkowo jej nie zauważył. Potem, jakby przyciągnięty jej myślami, jej miłością, odwrócił się; stali wpatrzeni w siebie, jakby widzieli się po raz pierwszy. Wreszcie Corena krzyknęła cicho i podbiegła rzucając się w jego ramiona.

- To prawda, powiedz, że to prawda! - powtarzała błagalnie.

- To, że cię kocham? - zapytał z uśmiechem. Nigdy nie widziała go równie szczęśliwym. Nagle odczuła strach i odezwała się nerwowo:

- Kocham cię, ale boję się... strasznie się boję, że on może ci zrobić krzywdę.

Przytulił ją bardzo mocno.

- Mówiłem ci, że możesz mi zaufać.

Pocałował ją - to był bardzo delikatny, czuły pocałunek, w dowód, że lord przyrzeka opiekować się Coreną i chronić ją. Czując dotyk jego warg stwierdziła, że jej zdenerwowanie mija - uwierzyła, że może on uratować jej ojca i siebie, choć z pozoru mogło się to wydawać nieprawdopodobne.

Lord Warburton wypuścił ją z objęć i powiedział cicho:

- Teraz musisz zjeść porządne śniadanie, moja najdroższa, a jedząc myśl o tym, że zbliżamy się do kraju, w którym zjawiał się Apollo; nad nim wznosiły się Świecące Skały, które razem będziemy oglądać.

Corena usiadła przy stole i starała się zjeść to, co jej podano wiedząc, że sprawi mu tym przyjemność. Tymczasem lord Warburton mówił dalej o Apollinie i jego wiernym towarzysz, „najgładszym i najpłomienniejszym ze wszystkich stworzeń, delfinie”.

Dziewczyna miała wrażenie, jakby znowu była małym dzieckiem, któremu ojciec opowiada greckie legendy. Nawet

kiedy była jeszcze bardzo malutka, uważała je za ciekawsze od bajek.

Kiedy wypijała kawę i zjadła obfity posiłek, zorientowała się, że jacht wchodzi do portu. Wciągnęła powietrze z uczuciem, że smok nie ukrywa się za gajami oliwnymi - tam, gdzie znalazł go Apollo, ale czeka na nich na nabrzeżu. Z bólem, jakby ktoś obracał nóż w ranie, przypomniała sobie wersety z Homera, które deklamowała wraz z lordem Warburtonem:

„Rozjaśnij niebo i pozwól, abyśmy przejrzały na oczy.
Niech stanie się światło, chociaż mnie zabijasz”.

Poczuła, jak słowa te płoną w jej mózgu, trawiąc ją jak ogień.

„Chociaż mnie zabijasz!”

A co będzie, jeśli Thespidos zabije ich wszystkich - jej ojca, lorda Warburtona i ją samą? Na myśl o tym ledwie powstrzymała okrzyk przerażenia; po chwili z lękiem uświadomiła sobie, że Thespidos może zamordować obu mężczyzn, a ją pozostawić przy życiu. Nie mogła zapomnieć, jak na nią patrzył. Zdawała sobie sprawę, że sugerował, by starała się uwieść lorda Warburtona, ponieważ jemu samemu wydawała się atrakcyjna - na tę myśl zrobiło się jej słabo.

Nie powiedziała lordowi, że Thespidos budzi w niej wstręt jako mężczyzna, ale Warburton potrafił czytać w jej myślach. Kiedy wstała od stołu, otoczył ją ramieniem i powiedział:

- Kocham cię, moja uwielbiana bogini, i nikt inny nigdy nie dotknie cię ani nie obrazi swymi awansami. Jesteś moja, całkowicie i wyłącznie moja!

Corena przywarła policzkiem do jego ramienia.

- Chcę, by tak właśnie było - szepnęła.

- I tak będzie, ale najpierw trzeba się zająć smokiem! - odrzekł lord.

Starała się roześmiać, ale jej głos zamienił się w szloch.

- Oczekuję, że będziesz odważna - ciągnął Warburton. - Pamiętaj, że znajduję w tobie „wszystko, co rozkoszne, czy to mądrość, piękno czy chwała, co wzbogaca duszę człowieka”.

Corena zaszlochała cichutko, usłyszawszy słowa Pindara. Chciała, by lord żywił wobec niej takie uczucia, i zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej rozczarować go teraz okazując, że do nich nie dorosła.

Jacht zwolna wpływał do zatoki, zmierzając w stronę położonego w głębi nabrzeża. Był piękny, słoneczny dzień, w powietrzu czuło się świeżość o zapachu, jakiego Corena dotychczas nie знаła. Wiedziała też, że zalewające ziemię i jaśniejące w niebiosach światło jest tym, którego Grecy nigdy nie przestali opiewać.

Starła się nie myśleć o człowieku, który czeka na nich w Krissie. Przypomniała sobie natomiast greckie wierzenia, że ciało Apolla przelewa się po niebie. Męski, jaśniejący, uzdrawiający wszystko, czego dotknie, bóg rzucał wyzwanie mocom ciemności. Jeżeli lord Warburton był Apollem, to Thespidos należał do sił ciemności.

Na myśl o tym ostatnim przebiegł ją dreszcz. Spojrzała na Warburtona i pomyślała, że nawet Apollo nie może być przystojniejszy niż on. Odniosła dziwne wrażenie, że z lorda emanuje potęga boga, z którym go identyfikowała. Patrzył na mijany brzeg, na skały, nagie i połyskujące w porannym świetle.

Potem obrócił się do Coreny i powiedział z wielką delikatnością:

- Wierz we mnie! Potrzebuję twego zaufania tak samo jak twojej miłości!

- Ależ ufam ci! Ufam bezgranicznie! - krzyknęła Corena.
- Kocham cię tak bardzo, że nie mogę myśleć o niczym innym... oczywiście z wyjątkiem papy.

Jej głos lekko zadrżał, kiedy wymawiała ostatnie słowa.

- On z pewnością myśli o tobie, a nie wyobrażam sobie, by nie wierzył, tak jak my, że bogowie ochronią go - odrzekł lord Warburton.

- Oczywiście, że tak!

Lord poprowadził ją do kanapy; usiedli obok siebie.

- Nie musimy się spieszyć - powiedział. - Wszystko ' zostało zaplanowane, a ty, moja najdroższa mała Afrodyto, musisz jedynie być mi posłuszna i nie okazywać przestraszenia.

- Co masz na myśli? - zapytała szybko Corena.

- Kiedy jacht zacumuje, chcę, żebyś zeszła na ląd; jest niemal pewne, że ujrzysz na nabrzeżu czekającego na ciebie ojca.

Popatrzył na nią, chcąc się przekonać, czy go słucha, po czym kontynuował:

- Zarzuć mu ręce na szyję i pocałuj go - sama masz ochotę to zrobić.

Corena słuchała z uwagą.

- Chcę, abyś w lewej ręce niosła upominek dla niego - tak, by wszyscy mogli to zobaczyć.

- Upominek?

- Włóż go w prawą rękę ojca - mówił dalej lord Warburton, nie zwracając uwagi na jej zaskoczenie - a potem trzymaj się blisko niego.

- A co ty będziesz robił?

- Będę czekał na moment, w którym zabiję smoka i uratuję twego ojca, moja najdroższa!

Mówiąc to pochylił się i pocałował ją - Corena nie mogła nic odpowiedzieć. Miała ochotę zadać mu wiele pytań, ale wyczuła, że lord nie chce powiedzieć nic więcej, a nie chciała robić mu przykrości naleganiem.

Kiedy usłyszeli, że ustała praca silników, lord Warburton wstał.

- Zaczekaj tutaj! - powiedział rozkazującym tonem. Przeszedł przez salon - Corena zorientowała się, że wygląda przez szklane drzwi prowadzące na pokład, sam nie będąc widzianym. Wiedziała, że spogląda na nabrzeże. Nie było słychać żadnych hałasów - wywnioskowała z tego, że przybili w miejscu, gdzie nie było gapiów i cumowało niewiele łodzi.

Warburton przez kilka minut stał bez ruchu. Potem podszedł do niej ze słowami:

- Myślę, kochanie, że ojciec czeka na ciebie. Corena skoczyła na równe nogi, a lord powiedział z naciskiem:

- Idź powoli i nieś prezent dla niego, jak ci powiedziałem.

Zawstydzona, że na chwilę o tym zapomniała, Corena wzięła ze stołu zawiniątko opakowane w białą serwetkę i przewiązane czerwoną wstążką.

Kiedy wzięła je do ręki, zorientowała się, że w środku jest rewolwer; spojrzała pytająco na lorda.

- Ojciec może go potrzebować - powiedział spokojnie. - Wręcz mu go tak, by przyjmując prezent chwycił za rękojeść.

- Tak, tak... naturalnie.

Była bardzo blada, ale podobał mu się sposób, w jaki podniosła z dumą brodę, jakby nie zamierzała pokazywać, jak bardzo się boi, niezależnie od tego, kto czeka na brzegu. Lord Warburton ujął ją za rękę i wyprowadził z salonu. Otwierając drzwi na pokład rzekł:

- Niech bogowie będą z tobą, moje cudne kochanie. Z wysiłkiem uśmiechnęła się do niego.

Idąc do trapu przekonała się, że Warburton miał rację - ojciec czekał na nią na nabrzeżu. Stał nieco oddalony od jachtu; obok znajdował się czarnowłosy mężczyzna, w którym instynktownie rozpoznała strażnika. Bliżej stał Thespidos; stał samotnie, ale Corenie wystarczył jeden rzut oka, by ocenić, że ojca pilnuje jeszcze czterech innych mężczyzn. Ci ustawili się

niewiele z tyłu i bacznie obserwowali okolicę; ręce ukryli w kieszeniach płaszczy.

Corena wciągnęła powietrze, po czym z godnością, jakiej oczekiwał po niej lord Warburton, ruszyła powoli po schodkach, trzymając przed sobą prezent. Lekki wiatr, wiejący od morza, trzepotał czerwoną wstążką, którą paczka była przewiązana. Corena miała świadomość, że za nią podąża lord Warburton. Kiedy zeszła na ląd, pobiegła do ojca z krzykiem:

- Papo, papo! Jestem tutaj!

Zarzuciła mu ręce na szyję, wsuwając jednocześnie rewolwer w jego prawą dłoń. Poczowała, jak zacisnął palce na broni. Pocałowała go i zaczęła mówić - słowa płynęły same:

- Jak się czujesz? Czy nie jesteś chory? Och, papo, tak strasznie tęskniłam za tobą!

- Ja także tęskniłem - odrzekł ojciec żarliwie.

Corena zauważyła, że jest bardzo blady, ma podkrążone oczy i mizernie wygląda. Był o wiele chudszy niż wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. Nie mogła mu się dłużej przyglądać, bo lord Warburton zszedł już z pokładu; Corena usłyszała słowa Thespidos:

- Dzień dobry, milordzie! Z ogromną przyjemnością witam pana w Grecji!

Corena wyczuła w jego głosie drwinę.

- Nie wydaje mi się, abyśmy się już spotkali - odrzekł wyniośle lord Warburton.

- Nazywam się Thespidos. Informuję pana, że jest pan obecnie moim więźniem!

- Pańskim więźniem? - wykrzyknął lord ze szczerym zaskoczeniem. - Musiał się pan pomylić!

- Nie, milordzie. Proszę pozwolić, że wyjaśnię z całym naciskiem, iż jeśli nie pójdzie pan ze mną spokojnie i bez jakiegokolwiek zamieszania, sir Priam Melville, którego właśnie powitała córka, zginie!

Thespidos mówił, upajając się własnymi słowami, co tak bardzo wystraszyło niegdyś Corenę. Następnie wyjął z kieszeni rewolwer i wycelował w lorda Warburtona. Dostrzegła to Corena, która jedynie nadludzką siłą woli powstrzymała się, by nie krzyknąć z przerażenia, i przytuliła się mocniej do ojca.

Robiąc to zorientowała się, że stojący za plecami ojca mężczyzna trzyma nie rewolwer, tylko długi, śmiertelnie ostry nóż i potrafi zabić człowieka jednym pchnięciem. Nóż wymierzony był w plecy jej ojca. Z głupawym uśmiechem człowiek ten przysłuchiwał się wymianie zdań między lordem Warburtonem i Thespidosem.

Lord był znacznie wyższy od Greka, ale Corena ku swemu przerażeniu spostrzegła, że nie jest uzbrojony. Zastanawiała się nerwowo, jak mógł zejść na brzeg bez jakiegokolwiek ochrony. Rozważała, czy gdyby rzuciła się biegiem, zdołałaby zasłonić go przed Thespidosem.

Widziała pozostałych mężczyzn stojących z tyłu i była pewna, że każdy z nich ma w kieszeni nóż albo rewolwer. Ogarnęła ją rozpacz, kiedy stwierdziła, że może jedynie obserwować, jak Thespidos zabiera lorda Warburtona. Wtedy usłyszała, jak ten ostatni mówi tym samym tonem, co poprzednio:

- Straszysz mnie, mój dobry człowieku?

- Być może powinienem to wszystko wyjaśnić panu nieco obszerniej, w jakimś spokojniejszym miejscu - odparł Thespidos. - Jeśli tylko wasza lordowska mość zechce przejść bez oporu przez te otwarte drzwi, pozwolę panie Melville zabrać ojca na pokład pańskiego jachtu.

Corena nie widziała twarzy Greka, ale była przekonana, że rozjaśnia ją złośliwy uśmiech - dowód zadowolenia ze spełnienia się jego złowieszczych planów. Dopiero wtedy dostrzegła za plecami swego ojca małe, otwarte drzwi w

wysokim murze. Zdała sobie sprawę, że gdyby udało się Thespidosowi wyprowadzić przez nie lorda, mógłby go, z pomocą swych ludzi, obezwładnić. Mogliby też ukryć lorda w jakimś sekretnym miejscu, być może tam, gdzie więzili jej ojca. Czowała, że nie zniosłaby tego, że nie może do tego dopuścić. Ale co mogła zrobić?

Chciała stanąć u jego boku i błagać Greka, by zabrał wszystko, nawet jacht, jeśli lord na to pozwoli. Wydawało się jednak, że Warburton zamierza posłuchać poleceń Thespidosa - zrobił krok do przodu, jakby chciał skierować się do otwartych drzwi - gdy nagle wykonał błyskawiczny zwrot. Precyzyjnie wymierzonym ciosem mistrza bokserskiego uderzył Greka w szczękę, zwalając go na ziemię. Rewolwer wypadł z dłoni Thespidosa. Kiedy jego ludzie sięgnęli do kieszeni po broń, na pokładzie „Węża morskiego” pojawił się tuzin marynarzy z karabinami wycelowanymi w znajdujących się poniżej Greków.

Corena śledziła wydarzenia z zapartym tchem. Kiedy przypomniała sobie, że stojący z tyłu mężczyzna może pchnąć ojca nożem, ten ostatni odwrócił się i postrzelił opryszka w ramię. Huk wystrzału roznosił się w czystym powietrzu. Ludzie Thespidosa rzucili się do ucieczki, ale było już za późno. Na drugim końcu nabrzeża pojawili się sprowadzeni przez Hewletta policjanci. Po chwili wahania Grecy rozbiegli się. Policjanci ruszyli się w pogoń i zatrzymali ich.

Nożownik postrzelony przez sir Priama zasłaniał dłonią ranę, z której sączyła się krew, i starał się dostać do furtki w murze. Kiedy do niej dotarł, przekonał się, że czeka tam na niego dwóch policjantów.

Wtedy Corena z twarzą zalaną łzami przyłgnęła do ojca, który powiedział z czułością:

- Dziękuję ci, moja najukochańsza, powinienem się był domyślić, że okażesz się na tyle sprytna, by mnie uratować.

- To lord Warburton - szepnęła, ale ojciec nie słuchał. Podszedł do lorda, który stał czekając, aż policjanci zabiorą nieprzytomnego Thespidosa.

Sir Priam wyciągnął rękę.

- Jak mam dziękować, że przybył mi pan na ratunek i zorganizował wszystko tak przemyślnie?

- Czy dobrze się pan czuje? - zapytał lord.

- Nie najlepiej, zważywszy strach, jaki przeżyłem, a poza tym jestem bardzo głodny - odrzekł sir Priam z krzywym uśmiechem.

- Och, papo, czy oni cię głodzili? - zapytała Corena.

- To byli najohydniejsi przestępcy, jakich miałem nieszczęście spotkać - odparł sir Priam. - Mogę jedynie dziękować Bogu, żeście się tu zjawili!

Lord Warburton popatrzył na Corenę.

- Zabierz swego ojca na pokład i zajmij się nim - powiedział. - Muszę teraz porozmawiać z policją, a potem przyjdę do was.

Corena poszła za ojcem na jacht; dopiero kiedy usiadł za stołem w salonie zauważyła, jak bardzo zmienił się od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni.

- Czy bardzo okrutnie obchodzili się z tobą, papo? - wyjąkała.

- Opowiem ci o tym później - odrzekł sir Priam. - Teraz marzę tylko o tym, by coś zjeść i napić się. Wiele czasu minęło, odkąd jadłem i piłem po raz ostatni.

Steward pospiesznie ruszył do kuchni po jajka na bekonie, gorące grzanki i kawę. Trwało to chwilę. Corena nie mogła się powstrzymać, by nie podejść do okna i przekonać się, czy lord Warburton jest rzeczywiście bezpieczny. Widziała go rozmawiającego z człowiekiem, który najwyraźniej był wyższym oficerem policji. Poza nimi na nabrzeżu nie było już nikogo.

Po dłuższej rozmowie oficer zsalutował, a lord Warburton wszedł na trap. Obawiając się, że może posadzić ją o podglądanie go, Corena wróciła do stołu. Jej ojciec pałaszował z taką energią, jakby po raz pierwszy w życiu widział jedzenie.

Kiedy lord wszedł do salonu, oczy dziewczyny napotkały jego wzrok. Teraz myśleli tylko o swojej miłości.

Tego samego dnia, kiedy sir Priam wypoczął, opowiedział trochę o tym, co przeszedł, kiedy dostał się w ręce Thespidosa. Mówił wesoło, ale Corena domyślała się, że swe straszne przeżycia przedstawiał w lekkiej formie, aby jej nie martwić.

- On był najzupełniej pewny, że to ja znalazłem posąg Afrodyty, której również pan szuka - rzekł sir Priam.

- A znalazł ją pan? - zapytał lord Warburton.

- Tak, znalazłem!

Corena wykrzyknęła z zachwytem:

- Och, papo, jak to cudownie! Ale ty nie powiedziałaś im?

- Męczyli mnie okrutnie - odrzekł sir Priam - ale nie poniżyłbym się do tego, by dać tym złoczyńcom coś, co sprzedaliby każdemu chętnemu, byleby tylko napełnić złotem swe kieszenie.

- I nic pan im nie powiedział?

- Nie! W końcu doszli do przekonania, że jedynym człowiekiem, który wie, gdzie można odnaleźć Afrodytę, jest wasza lordowska mość!

- I mieli zupełną rację! - powiedział Warburton.

Corena spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Znalazłem Afrodytę - odrzekł lord. Wyciągnął rękę do Coreny, która ujęła ją. Sir Priam przyglądał się to jednemu, to drugiemu, po czym roześmiał się cicho.

- A więc o to chodzi!

- Ja go kocham, papo - rzekła Corena - ale dopiero wczoraj wieczorem powiedziałam mu prawdę o tym, co się wydarzyło. Strasznie się bałam, że jeśli to zrobię, Thespidos spełni swą groźbę i zabije cię.

- Powiedział mi, że straszył cię w taki sposób - odparł sir Priam. - Powinienem był przewidzieć, że pan, lordzie Warburton, potrafi go przechytrzyć!

- Nie mogłem przecież pozwolić, by mój przyszły teść zginął tak niesławną śmiercią - odparł lord.

Obaj panowie roześmiali się, po czym sir Priam podniósł kieliszek szampana.

- Piję za was oboje - rzekł - a wiem, że związani wspólną miłością do Grecji będziecie bardzo szczęśliwi!

Corena podniosła się i ucałowała ojca. Rozmawiali długo o Grecji, jej pięknie i skarbach - wszystko to wydawało się Corenie częścią ich miłości. Wreszcie lord Warburton wymógł na sir Priamie, by ten położył się i wypoczął.

Wiedziała, że ojciec zaśnie, zanim Hewlett zdąży mu pomóc rozebrać się. Kiedy tylko sir Priam oddalił się do swej kajuty, zapytała lorda Warburtona:

- Czy teraz odpłyniemy? Otoczył ją ramieniem i rzekł:

- Sądzę, że nie popisałibyśmy się odwagą, gdybyśmy wyruszyli stąd, nie zabierając ze sobą Afrodyty twego ojca.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Ja mam ciebie, moja uwielbiana mała bogini, ale nie mogę pozwolić, aby twój ojciec cierpiał na darmo.

Corena wciągnęła powietrze, a potem rzekła cichutko:

- Czy będziecie bezpieczni?

- Z całą pewnością! - zapewnił lord Warburton. - Thespidos i jego banda są w więzieniu; dostaną surowe wyroki nie tylko za to przestępstwo, ale i wiele innych zbrodni, za które dotychczas nie zapłacili.

Dostrzegł, że nadal jest przejęta, i dodał:

- Kiedy pojedziemy poszukać skarbu twego ojca, zapewnię nam ochronę w postaci mych własnych ludzi, a także policji, która już zresztą zaproponowała, że się nami zaopiekuje.

- Ty myślisz o wszystkim! - szepnęła Corena.

Całował ją tak długo, aż uleciały jej z pamięci niezliczone pytania, jakie zamierzała mu zadać. Jediną rzeczą, z której zdawała sobie sprawę, była jego bliskość. Usta lorda unosiły ją w niebiosa. Miała wrażenie, jakby tuliła gwiazdy do swej piersi.

Następnego dnia wczesnym rankiem lord Warbuton wydawał na pokładzie rozkazy załodze. Corena - próbując dociec, co on zamierza - weszła do salonu, w którym chwilę przedtem zjawił się jej ojciec.

- Czuję się jak nowo narodzony! - oświadczył sir Priam siadając przy stole. - Po jedzeniu, jakie dawano mi przez ostatnie tygodnie, jestem gotów zjeść wołu albo cokolwiek innego, co jego lordowska mość łaskawie mi zaproponuje!

Stewardzi z uśmiechem wnieśli pół tuzina półmisków. Były tam świeże ryby morskie i langusty, złowione poprzedniego ranka. Corena zorientowała się, że są też greckie dania, nieosiągalne gdzie indziej, ponieważ za granicą nie można było kupić odpowiednich ryb.

Kiedy wszedł lord Warburton, dziewczyna pomyślała, że nigdy jeszcze nie wyglądał na tak szczęśliwego. Jakby nie mogąc się powstrzymać, objął ją i rzekł:

- Dziś wyglądasz jeszcze piękniej niż wczoraj!

- Wczoraj byłam przestraszona - przyznała Corena - a dziś czuję się tu bezpieczna z tobą i z papą.

Obaj panowie uśmiechnęli się, słysząc te słowa. Lord Warburton usiadł do stołu mówiąc:

- Mam coś do zaproponowania wam obojgu i liczę, że się na to zgodzicie.

Corena spojrzała na niego bystro, Nagle zaczęła się obawiać, że lord zechce zatrzymać się w Grecji, a ją z ojcem odeśle na pokładzie „Węża morskiego”.

- Kapitan przeprowadził rozpoznanie na moje polecenie i stwierdził, że w Krissie przebywa chrześcijański misjonarz, który spędza tu wakacje, zwiedzając Delfy przed powrotem do Afryki.

Corena patrzyła zdziwiona, a lord ciągnął:

- Pomyślałem, że trudno o coś bardziej odpowiedniego, i mam nadzieję, sir Priamie, że wyrazi pan zgodę, abyśmy - Corena i ja - pobrali się w Delfach,

Na chwilę zaległa kompletna cisza. Potem Corena wydała okrzyk radości.

- Czy mówisz to poważnie?

- Jest to możliwe - odrzekł lord Warburton - ponieważ każdy misjonarz, jak twój ojciec z pewnością dobrze wie, wozi ze sobą sakrament.

Widząc, że dziewczyna nie rozumie, wyjaśnił:

- To oznacza, że może udzielać ślubu, komunii świętej oraz chrzczyć dzieci wszędzie, gdzie towarzyszy mu ten sakrament.

Ujął rękę Coreny i rzekł:

- Możemy się pobrać w świątyni Apollina albo, jeżeli wolisz, moja ukochana, w świątyni Ateny.

- To byłoby najbardziej odpowiednie, ponieważ właśnie w świątyni Ateny znalazłem Afrodytę! - rzekł sir Priam.

- Czy ona tam naprawdę jest? - wykrzyknął lord Warburton.

- Jest tam, a znalazłem ją przypadkowo pod schodami wiodącymi do piwnic, na których stoi świątynia. Musiały tamtędy przechodzić tysiące ludzi nie zdających sobie sprawy, że posąg tam leży!

- I co się zdarzyło, kiedy go pan odkrył?

- Zanim jeszcze odnalazłem jej głowę, zorientowałem się, że jestem śledzony - odrzekł sir Priam. - Byłem sam, zapadał zmierzch. Stwierdziłem, że dalsze kopanie jest niebezpieczne.

- To był Thespidos! - powiedziała zduszonym głosem Corena.

- To był jeden z jego kompanów - sprostował ojciec. - Ale Thespidos znajdował się niedaleko. Kiedy ruszyłem z powrotem do wsi, gdzie miałem nocować owego dnia, schwytali mnie.

Mówił teraz ostrym głosem:

- Zaprowadzili mnie do oddalonego domu, w którym obozowali, by móc napadać na każdego archeologa, który odkrył coś, co ich zdaniem mogło okazać się cenne.

- Policjanci powiedzieli mi - zauważył lord Warburton - że sam Thespidos jest podejrzany o zamordowanie kilku archeologów, którzy usiłowali bronić swych znalezisk. Corena krzyknęła z przerażeniem, a jej ojciec rzekł cicho:

- To prawda, moja droga. Thespidos pozostanie w więzieniu przez długie lata.

- Nie potrafię znieść myśli, że byłeś w rękach tego strasznego człowieka!

Mówiąc to spojrzała na lorda Warburtona; zdawała sobie sprawę, że i on zastanawia się nad tym, co mogło mu się przytrafić.

- Uzgodniliśmy - wtrącił lord, jakby chciał zmienić temat - że misjonarz, który pragnie samodzielnie zwiedzić Delfy, spotka się z nami przy świątyni Ateny o piątej po południu, kiedy inni turyści już znikną - będziemy wówczas mieli całe to miejsce dla siebie.

Dostrzegł podekscytowanie w oczach Coreny i mówił dalej:

- Proponuję, sir Priamie, abyśmy po tym, jak pobierzemy się z Coreną, udali się we dwoje do małego hoteliku, który wynająłem na dzisiejszą noc.

Corena jęknęła ze szczęścia; wyglądała tak pięknie, że lord Warburton z niemałym wysiłkiem oderwał od niej wzrok, zwracając się ponownie do sir Priama:

- Na pana kolacja będzie czekała na jachcie, niezależnie od pory pańskiego powrotu. Zakładam, że nastąpi on wtedy, gdy moi ludzie skończą kopać pod pańskim kierownictwem i przeniosą Afrodytę na pokład.

- Będę tam razem z nimi - odparł krótko sir Priam.

- Czy taka wyprawa nie będzie dla ciebie zbyt wyczerpująca? - zapytała Corena.

- Jeśli nawet okaże się ciężka, w powrotnej drodze pocieszy mnie Afrodyta, a ja z pewnością będę zbyt podniecony, aby odczuwać zmęczenie - rzekł cicho sir Priam.

- Nie będzie trzeba iść piechotą - wtrącił lord Warburton.

- Zapewniono mnie, że konie, które wynająłem, są najlepsze w Kri ssie, a ponieważ od kilku dni stoją w stajni, będą zupełnie świeże, gdy dosiądziemy ich dziś po południu.

Corena wciągnęła powietrze.

- Nie wyobrażam sobie cudowniejszego sposobu, by wyjść za mąż! - wykrzyknęła.

- Miałem nadzieję, że to powiesz - odrzekł Warburton. - Zostawimy twego ojca na jachcie pod opieką kapitana i pozostaniemy sami.

Nie kładł szczególnego nacisku na te słowa, ale wyraz jego oczu mówił wszystko.

Sir Priam, który niewiele spał ostatniej nocy, poszedł się położyć. Corena zrobiła to samo. Zasnęła niemal w tej samej chwili, w której jej głowa zetknęła się z poduszką.

Corena obudziła się i modlitwą dziękowała za wszystko Bogu. Jej ojciec był żywy, znalazł swoją Afrodytę, a ona

znalazła Apollina ze swych snów. Był on tym człowiekiem, którego istnienie gdzieś na świecie zawsze przeczuwała, ale przecież mogła go nigdy nie odkryć.

Słońce nie operowało już tak mocno, kiedy wyruszyli wijącą się ścieżką wiodącą przez gaje oliwne i po stromym zboczu wzgórza w kierunku Delf. Kiedy wydostali się z portu, Corena bardzo wyraźnie dostrzegła zwieszające się nad nimi skały zwane Phaedriades - „Świecące”, o których wiedziała, że prawie zawsze są zwilżone wodą z górskich źródełek.

Wyglądały tak pięknie, że na długo przedtem, zanim zobaczyła kolumny i ruiny świątyni Apollina pomyślała, że jest to miejsce odpowiednie na mieszkanie dla boga. Kiedy spoglądała w dół, widok był jeszcze piękniejszy niż wtedy, kiedy patrzyła do góry. Miała wrażenie, że dolina, góry i morze obracają się z wolna wokół Świecących Skał, wznoszących się na tysiąc stóp ponad jej głową, nieubłaganie surowych i odległych.

Kiedy minęli świątynię Apolla, zobaczyła trochę niżej ruiny świątyni Ateny. Jej doryckie kolumny zdawały się odradzać w promieniach wieczornego słońca, wypełniały się, jak wtedy, gdy świątynia stanowiła jeden z najwspanialszych widoków Delf. Nie tyle sam pejzaż, ile towarzyszące mu uczucie przekonało Corenę, że przeżywa jeden z najwznieślejszych momentów w całym swoim życiu. Była kochana, wychodziła za mąż za człowieka, który w jej myślach niepodzielnie łączył się z Apollinem.

Zostawili konie i pieszo pokonali krótką drogę, dzielącą świątynię Apolla i Ateny. Wtedy właśnie zobaczyli stojącego tyłem do trzech ocalałych kolumn księdza, który miał im udzielić ślubu. Za jego plecami, na jednej z przewróconych kolumn dostrzegła zaimprovizowany ołtarz.

Corena wjechała na szczyt wzgórza w wygodnym siodle, jakie w Krissie wypożyczano turystom. Przypominało krzesło

umocowane na końskim grzbiecie, a lord Warburton pokrył je białym jedwabiem. W ten sposób nie tylko nie brudziła się jej suknia, ale też dziewczyna podróżowała jeszcze wygodniej.

Nie musiała trzymać lejców, ponieważ konie prowadzili przewodnicy. Lord Warburton ciągle spoglądał na nią - domyśliła się, że stanowi wspaniały obraz panny młodej w białej sukni, prostej, ale uszytej z wybornym smakiem, i szerokoskrzydłym kapeluszu, mającym chronić jej twarz przed słońcem.

Kiedy dojechali do Delf, zostawiła kapelusz przy koniach i włożyła na głowę wianek z białych kwiatów. Lord Warburton dał jej także mały biały bukiet, który miała trzymać w ręku.

Kiedy Corena i jej ojciec wchodzili po świątynnych schodach, lord Warburton ruszył przodem, by czekać na nich przed obliczem księdza. Rozpoczęła się ceremonia - Corena miała wrażenie, jakby ze Świecących Skał zrywały się do lotu ponad ich głowami nie tylko orły, ale i sami bogowie, chcący być świadkami ich zaślubin. Czowała, że są tu teraz z nimi.

Kiedy oboje uklękli, a ksiądz błogosławił ich, Corena dostrzegła dziwne światło płynące ze szczytu świątyni i zalewające ich swym wspaniałym blaskiem. Wiedziała, że to światło Apollina, że towarzyszy im błogosławieństwo nie tylko tego Boga, w którego oboje wierzą, ale i błogosławieństwo bogów greckich.

Kiedy pozostawili sir Priama z marynarzami, mającymi kopać w świątyni Ateny, było już prawie ciemno. Misjonarz wrócił do siebie, zaś Corena i lord Warburton zostali sami w niewielkim hotelu. Dziewczyna stwierdziła, że czekający na nich salon tonie w kwiatach, zebranych na polach otaczających Delfy, a także kupionych na targu w Krissie. Ich zapach unosił się w powietrzu, przekształcając mały pokój w przepiękną altanę.

Czekała na nich kolacja przygotowana przez szefa kuchni z „Węża morskiego”. Był szampan, złocący się jak słońce, które rzucało na nich swe promienie, gdy jechali długą, stromą ścieżką do Delf, a którą wcześniej przemierzyło tylu pielgrzymów. Corena wiedziała, że bogowie nadal im towarzyszą, odczuwała ich obecność w ciszy, jaka zaległa w pokoju.

Milczeli oboje, ale jej serce przemawiało do jego serca - tej mowy nie sposób było przetłumaczyć na zwyczajne słowa.

- Papa jest taki szczęśliwy - rzekła wreszcie.

- Bardzo szczęśliwy - odparł lord Warburton. - Zanim go pożegnaliśmy, powiedział mi, że nie popłynie jachtem razem z nami.

Corena wyglądała na zaskoczoną, więc wyjaśnił jej:

- Zdaje sobie sprawę, że wolimy być sami, a przy tym chce prowadzić przez miesiąc poszukiwania i znaleźć więcej skarbów.

- Czy będzie bezpieczny?

- Zostawię mu mych dwóch najlepszych ludzi. Corena odparła z westchnieniem:

- Jesteś taki uprzejmy.

- Jestem samolubny - rzekł lord Warburton - ponieważ chcę cię mieć, moja piękna, ukochana żono, tylko dla siebie.

Po wyjściu stewardów zostali sami. Na niebie nad ich głowami pojawiły się gwiazdy. Lord Warburton wziął Corenę w ramiona i rzekł:

- To był długi dzień, moje kochanie, ale myślę, że dobrze go zapamiętamy.

- Jak w ogóle mogłabym zapomnieć coś równie cudownego jak ślub z tobą w świątyni Ateny?

Corena ściszyła z zawstydzenia głos i dodała:

- Kiedy modliliśmy się, byłam przekonana że bogowie przybyli na ślub Apollina.

- A ja mam pewność, że znalazłem prawdziwą Afrodytę, boginię miłości! - odrzekł lord. - Jesteś nią ty, moja najdroższa; jesteś nieśmiertelna, będziesz żyła w każdej istocie, która się zakocha!

Corena podała usta do pocałunku, ale on nie pocałował jej. Spojrzał tylko i zapytał:

- Jak to się dzieje, że jesteś taka doskonała, tak piękna, a przy tym jesteś kobietą z krwi i kości?

Serce podskoczyło jej z radości, a lord dodał zdecydowanym głosem:

- Jesteś moja - całkowicie, absolutnie moja. Nie mogę cię stracić, nie pozwolę ci odejść! Zostaliśmy połączeni przez bogów i jak bogowie będziemy żyli i kochali się przez całą wieczność.

- Właśnie tego chcę... och, najdroższy, kocham cię tak zupełną miłością, że po prostu nie sposób wypowiedzieć jak bardzo!

- Po cóż więc próbować? - zapytał lord Warburton. Delikatnie poprowadził ją przez wąski korytarzyk do

sypialni. Corena zobaczyła, że i ten pokój zmienił wygląd, udekorowany kwiatami. Było tam wielkie rzeźbione łóżko z namalowanymi roślinami i postaciami zwierząt. Pościel nosiła znak lorda Warburtona, poduszki były obramowane koronką. Na podłodze leżały białe futrzane dywaniki, a na srebrnym kandelabrze przy łóżku widniał jego herb. Okna były otwarte - wznoszący się nad Delfami księżyc i gwiazdy rzucały na nich srebrną poświatę.

Wtedy lord Warburton bardzo delikatnie zdjął z Coreny nocną koszulę, którą miała na sobie. Była z przodu udrapowana w sposób bardzo prosty - wyglądała tak, jakby wykonano ją dla samej Afrodyty. Dziewczyna stała przed nim z oczami pełnymi księżycowego światła i miłości; wyciągnął spinki z jej włosów, które kaskadą opadły na ramiona.

Koszula powoli opadła na podłogę - lord odsunął się, by lepiej' widzieć żonę.

Nie czuła wstydu - w tej chwili nie była sobą, ale boginią, za jaką on ją uważał. Zdawała sobie sprawę, że on nie tylko kocha ją, ale wręcz wielbi.

- Jak ktoś może być taki piękny? - mruknął chrapliwie. Stał bez ruchu, a po chwili szepnął:

- Boję się ciebie dotknąć, bo może się okazać, że jesteś snem, a nie istotą realną.

Corena odzyskała głos:

- Jestem całkowicie realna, mój najdroższy mężu, i kocham cię!

Jakby nie mogąc się już doczekać, podeszła do niego. Otoczył ją ramionami, ich wargi spotkały się. Całował ją tak długo, aż poczuła, jak dolina i góry wirują wokół nich. Należeli do Świecących Skał, stanowili cześć świątyni Apolla - na całym świecie nie było nic poza nimi i ich miłością.

Lord Warburton przeniósł ją na rękach na łóżko, kładąc na miękkiej pościeli; Corena dostrzegła na niebie gwiazdy Oriona. Wiedziała, że będą jej wskazywać drogę, że pomogą jej we wszystkim, co zrobi i o czym pomyśli. Potem on znalazł się obok niej. Poczowała obejmujące ją ramiona i jego mocne, atletyczne ciało.

- Kocham cię, moja piękna, wspaniała Afrodyto.

- I ja cię kocham, Orionie, chociaż dla mnie zawsze będziesz Apollem, który przynosi mi światło, bezpieczeństwo i miłość.

- Wielbię cię i pożądam, ale nie chcę cię przestraszyć.

- Jak mogłabym obawiać się Apolla? - szepnęła Corena. - Jestem już twoja, ale, najdroższy, chcę być nie tylko boginią, ale i twoją żoną.

Zorientowała się, że te słowa podnieciły lorda Warburtona. Jego pocałunki nie były już delikatne i czułe,

tylko gwałtowne, pożądliwe, pełne pasji. Corena nie czuła strachu - wiedziała, że już stanowią jedność; jedność umysłu, ciała i duszy.

On całował jej oczy, szyję, piersi, aż zadrżała pod tym dotykiem. Kiedy ją posiadał, pojawił się w powietrzu płomyk świetlny, który błyskał i migotał tańcząc wokół nich. Słysząc było jakieś tajemnicze drżenie, łopot srebrnych skrzydeł i turkot srebrnych kół.

Stanowili jedność wraz z bogami - na całym świecie nie istniało nic poza miłością.